

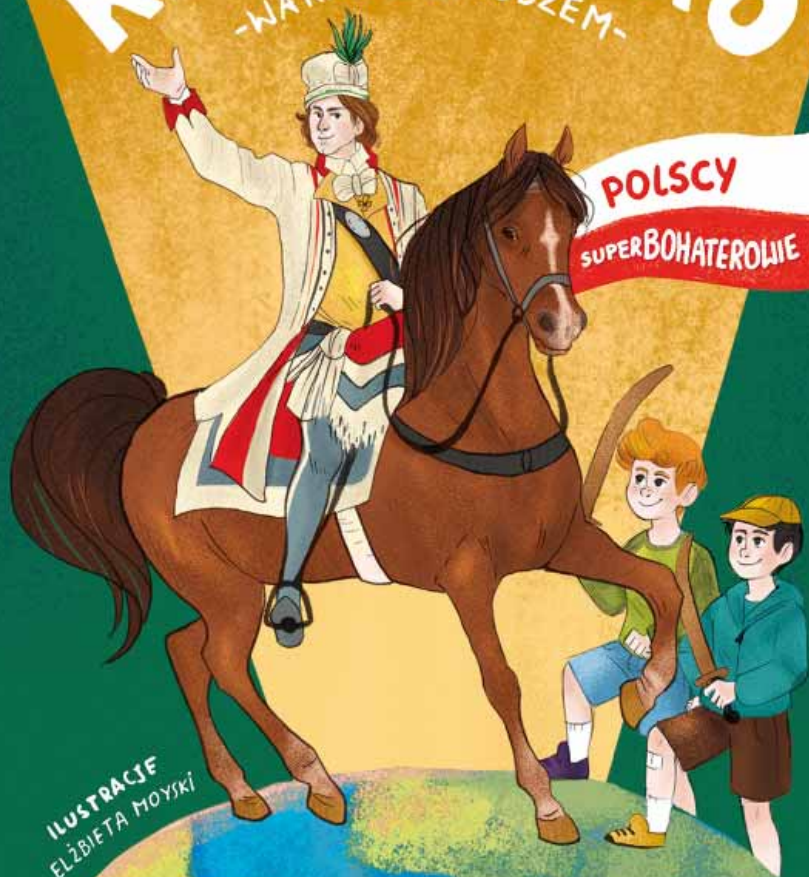
IZABELA DEGÓRSKA

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

-WAKACJE Z WODZEM-

POLSCY
SUPERBOHATEROWIE

ILUSTRACJE
ELŻBIETA MOYSKI



Polscy Superbohaterowie Tadeusz Kościuszko. Wakacje z wodzem

Izabela Degórska

Ilustracje: Elżbieta Moyski

Copyright © 2019 Wydawnictwo RM

All rights reserved

Wydawnictwo RM

03-808 Warszawa, ul. Mińska 25

rm@rm.com.pl, www.rm.com.pl

ISBN 978-83-7773-927-3

ISBN 978-83-8151-107-0 (ePub)

ISBN 978-83-8151-108-7 (mobi)

ISBN 978-83-8151-109-4 (pdf)

Edytor: Justyna Mrowiec

Redaktor prowadzący: Irmina Wala-Pęgierska

Redakcja: Mirosława Szymańska

Korekta: Justyna Mrowiec

Projekt graficzny książki i okładki:

Elżbieta Moyski

Koordinacja produkcji wersji elektronicznej:

Tomasz Zajbt

Opracowanie wersji elektronicznej:

Marcin Fabijański

Weryfikacja wersji elektronicznej:

Justyna Mrowiec



Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana, w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (elektroniczny, mechaniczny) włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy. Wydawnictwo RM dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić najwyższą jakość tej książki, jednakże nikomu nie udziela żadnej rękojmi ani gwarancji.



[Kup książkę](#)

Co takiego? Mam jechać do dziczy? — prychnął Antoś, kiedy dowiedział się, gdzie spędzi połowę wakacji.

— Jaka znowu dziczy? — obruszyła się mama. — To uroczą miejscowość. A niedaleko jest Kraków, niemal o rzut beretem.

— Tiaaaa... Po prostu cudownie!

Antoś był pewien, że to fatalny pomysł. Maleńka Olśzówka nie miała kablówki ani skateparku (marzenie ściętej głowy), prowadziła do niej droga pełna wertepów, a zasięg do Internetu był tylko na dwie kreski, w porywach do trzech. I po co się tam tak tłuc? Żeby się nudzić u dziadka, którego nie widział od lat! Dlatego do swojego plecaka zapakował głównie gry.

Kiedy wreszcie dotarli, Antoś wysiadł z samochodu naburmuszony, stanął i skrzyżował ręce na piersi. Słowo „porażka” to najmiłsze z określeń, jakie znajdował na najbliższy miesiąc.

Mama zdjęła mu czapkę z daszkiem i pchnęła go lekko do przodu.

— Przywitaj się — powiedziała ciepło, ale on stał jak wmurowany.

— No, chłopie, chodź do mnie! — Dziadek Adam rozłożył szeroko ręce w oczekiwaniu na ukochanego wnuka. Był wysoki, łysy, a perkaty nos w ogóle nie pasował do jego twarzy. — Mam coś dla ciebie!

Antoś drgnął. Prezenty lubił i to bardzo.

— Tak? A co? — Ruszył wolno.

Dziadek gwizdnął przenikliwie na palcach (to akurat było fajne, sam chciałby tak umieć) i oto zza rogu domu wolno wychylił się brązowy łeb. Antoś zmarszczył czoło. Czy to...

— Koń! — Dziadek z zadowoleniem klepnął się dłonią o udo. — A dokładnie kucyk Amigo. Będiesz mógł na nim jeździć. Cieszysz się?

— Nie prościej wziąć z domu rower?

— Rower? — Dziadkowi zrzedła mina. Miał w swym obejściu kilkanaście koni, pięknych i bardzo zadbanych, na których jeździli sztywni jak kołki, wystrojeni panowie i jeszcze bardziej wystrojone panie. Jakby na konia nie

można było wsiąść bez tych śmiesznych spodni, długich butów i dziwacznej czapeczki. — Rower nie umywa się do konia! A ty masz już osiem lat, najwyższa pora, żebyś umiał jeździć.

Antoś nie odpowiedział, tylko smętnym wzrokiem przesunął po okolicy. Dom dziadka prezentował się całkiem nieźle, ale ten zapach bijący od stajni i padoku! Ten ABSOLUTNY brak cywilizacji! Te lasy, chaszcze i łąki zamiast chodników i skwerków z huśtawkami. Ten rozczochrany rudy chłopak prowadzący kuca...



— A niech mnie...! — wrzasnął uradowany. — Kuba!

Kuba, który właśnie bardzo spokojnie przywiązał wodze konia do żerdzi, podszedł prężnym krokiem do kuzyna. Był duży, miał przecież już dziesięć lat, a co najważniejsze świetnie sobie radził ze wszystkimi strzelankami i wyścigami. A wiadomo, że gra się lepiej, kiedy ma się do dyspozycji drugiego gracza!

— No czeeeść — powiedział Kuba przyjaźnie. — Fajnie, że jesteś!

Zaraz potem uściskała Antosia babcia Kasia. Pachniała świeżo upieczonym ciastem, a jej rumiana twarz promieniała radością.

— Aleś ty chudy! — oceniła. Tylko ona tak uważała. — Ale wiem, jak temu zaradzić! — I zaprosiła wszystkich na pyszną chałkę z mlekiem.

To była sympatyczna godzina – pełna żartów, śmiechu i dobrego jedzenia. Niestety niebawem mama się pożegnała i zostawiła go na wygnaniu.



— Dzwon do mnie codziennie! — poprosiła na odchodne.

— Po co? — mruknął, ponownie tracąc dobry humor.

— Jak to „po co”? Poopowiadasz, co się dzieje.

— A co tu się może dziać? — Sapnął. — Kuc zje trawę i zrobi kupę. To wszystko.

— No to nie dzwoni, skoro nie chcesz — odparła mama, nie kryjąc rozczarowania.

— Gdyby tatuś tu był... — zaczął Antoś, ale przerwał. Tatuś pracował za granicą i przyjeżdżał rzadko i na krótko. Chłopiec powoli zaczynał zapominać, jak tata wygląda.

Mama ucałowała go w czoło i już jej nie było. Antoś westchnął zrezygnowany i zrobił jedyną sensowną rzecz, to znaczy podłączył konsolę do telewizora. Już po chwili cały dom wypełnił łomot BANG! BANG!, kiedy walił z piąchy potwory, i głośnie PIP! PIP!, ilekroć zdobył punkty. Wielka szkoda, że Kuba gdzieś zniknął, ale przecież sam też świetnie się bawił.

Dziadków i Kubę zobaczył dopiero wieczorem, na kolacji, kiedy wrócili od koni. Wszyscy uśmiechnięci i zadowoleni, nieustająco opowiadali o szczotkowaniu, kłusowaniu i takim tam nudziarstwie. Antoś podparł głowę dłońmi

i się nie odzywał. Przecież nikogo nie zainteresuje, że zdobył kolejny poziom w starej grze, którą przeszedł już wiele razy. Babcia, stawiając gorące parówki na stole, spojrzała krzywo na rozłożoną konsolę, ale nic nie powiedziała. Może nie zdążyła? W drzwiach bowiem pojawiła się Sonia, najstarsza kuzynka Antosia. Była nastolatką i bez przerwy podkreślała, że jest mądrzejsza od *dzieci*, to znaczy, oczywiście, od niego i Kuby.

— Hej, mały! — przywitała się niezbyt grzecznie. Antoś, nawet jeśli był od niej mniejszy, to z pewnością nie mały!

— Ty też tu jesteś? — zdumiał się. To znaczyło, że przez miesiąc będzie dzielił pokój z Kubą. Dziewczyna, na bank, dostała drugą sypialnię tylko dla siebie.

— Aha. Jakbyś wyszedł z tej jaskini, to zobaczyłbyś wcześniej. Objechałam konno całą okolicę!



— Też mi atrakcja — powiedział cicho.

Niestety Sonia miała uszy jak nietoperz. To znaczy takie duże, nie wielkie.

— A żebyś wiedział! — odparła, mierzwiąc mu grzywkę. Nic innego nie dałoby się zmierzwić, bo zaraz po zakończeniu roku szkolnego Antoś trafił pod nożyczki fryzjera, który zostawił mu tylko kępkę włosów na czubku. Od tamtej pory, kiedy mógł, chodził w czapce. — Tylko dzidziusie wolą siedzieć przy bajusiach i durnych grach, kiedy mogą wsiąść na prawdziwego konia i pognać przed siebie!

— Nie jestem dzidziusiem! I... i... jutro będę jeździł na Amisie!

— Amigo — poprawiła go babcia, uśmiechając się dziwnie.

— Okej, zobaczymy — odrzekła Sonia i, nie wiedzieć czemu, puściła oko do dziadka.

Po kolacji dziadek odprowadził chłopców do ich sypialni. Niestety za nimi, jak ogon, dreptała wścibska Sonia.

— Babcia rozpakowała już wasze rzeczy. — Dziadek wskazał na szafę, starą i trzeszczącą.

Chłopcy nie patrzyli na szafę, tylko skoczyli na łóżka, każdy na swoje. Sprężyny jęknęły, a oni, zadowoleni, zaczęli

skakać w górę i w dół. To była świetna zabawa, dawali susy niemal pod sufit!

— Kuba! Antek! Chyba nie skaczecie po łóżkach? — dobiegło ich z kuchni.

— Nie! — odkrzyknęli chłopcy, siadając grzecznie na posłaniach.

Sonia zachichotała, ale ich nie zdradziła. A dziadek, cóż, dziadek patrzył gdzie indziej. Dziwnie pokasłując, jakby tłumił śmiech, prezentował im kolejny stary mebel, nieco podobny do biurka z nadstawką.

— A tu macie sekretarzyk — powiedział, sunąc sękatą dłonią po gładkim blacie. — Możesz na nim rozłożyć swój komputerowy sprzęt, Antosiu.

— Jaki on śliczny! — pisnęła zachwycona Sonia. Stary sekretarzyk miał sporo szufladek i zupełnie zbędnych rzeźbień oraz zdobień.

— U mnie takiego nie ma!

— Oryginalny — pochwalił się dziadek. — Pochodzi z dawnych czasów. Kto



wie, czy nie ma jakiejś tajemnej skrytki. Ale ja nie o tym. Skoro babcia nie słyszy... to... no, tego... chciałem was o coś spytać.

Dziadek stanął w dziwnej pozie — z dłonią na biodrze i dumnie uniesioną głową.

— I jak? Jestem podobny?

Antoś i Kuba popatrzyli na siebie zaintrygowani.



— Do kogo?

— Do niego, oczywiście! — Tu dziadek wskazał na portret, który wisiał tuż za nim. Przedstawiał mężczyznę z zadartym nosem w jakimś starodawnym mundurze. — Nie mówcie, że nie wiecie, kto to jest!

— Ja wiem! — oświadczyła przemądrzale Sonia. — To generał Tadeusz Kościuszko. Moja szkoła nosi jego imię.

— Phi! — Kuba wzruszył ramionami. — Patrona swojej szkoły każdy rozpozna. Ale jak trzeba coś więcej powiedzieć, to ani be, ani me.

— Łatwizna — prychnęła Sonia. — Dawno temu walczył o niepodległość Polski i Stanów Zjednoczonych. I był naczelnikiem insurekcji kościuszkowskiej.

— Kim był? — Skrzywił się Kuba.

— Naczelnikiem, takim przywódcą powstania.

Dziadek zacmokał nagle, wciąż bowiem stał w tej śmiesznej pozie.

— Ale czy jestem podobny? No, mówcie!

— Zadarty nos masz — przyznała Sonia — ale poza tym... Nie, raczej nie.

— To już kuc jest bardziej podobny! — Antoś zachichotał. — Przynajmniej nie jest łysy.

— Łysinę można zakryć — kombinował dziadek, prę-
żąc się przed lustrem. Wyjął z szuflady jakiś włochaty beret
i włożył go na swą świecącą i zupełnie pozbawioną włosów
głowę. — A teraz?

— Teraz to wyglądasz jak dziadek w czapce babci —
oceniła Sonia.

— Iii! — zdenerwował się dziadek. — Nie znacie się! Po-
dobieństwo jest uderzające. U-de-rza-ją-ce! I właśnie dlate-
go to JA będę w tym roku Naczelnikiem. Na koniu! I złożę
przysięgę!

Sonia, Antoś i Kuba popatrzyli na niego wytrzeszczony-
mi oczami. Jak nic, dziadek znikował!

— Podobno — szepnął Kuba — jak ktoś spadnie z konia
i uderzy się w głowę, to mogą mu się wydawać różne rzeczy.

— Aha — odszepnęła Sonia — na przykład, że jest Na-
poleonem albo jakimś celebrytą.

— Może i jestem stary, ale nie głuchy! — odparował
dziadek Adam. — I wcale mi się nie wydaje, że jestem Ko-
ściuszką! Ja tylko go zagram. — I opowiedział wnuczętom
o tym, jak razem z przyjaciółmi w roku kościuszkowskim *

* Rok Tadeusza Kościuszki (2017) upamiętniał dwusetną rocznicę śmierci Naczelnika
Tadeusza Kościuszki.

przebrali się w stroje polskich oficerów z dawnych lat, przejechali konno przez Kraków i odtworzyli słynne ślubowanie Naczelnika na samiutkim Rynku. I jak wszyscy wiwatowali, a telewizja to wszystko relacjonowała. I że znów planują to powtórzyć.

— Nie słyszałem o żadnym słynnym ślubowaniu — przyznał się Kuba.

— Ani w ogóle o Kościuszcze — dorzucił Antoś.

Sonia zmarszczyła nos.

— Kościuszko był nudny. Przysiągł narodowi, że Polska będzie wolna. Jeździł na koniu i machał szablą, a jego insurrekja^{*} i tak okazała się klapą.

— Dziecko drogie, czego was uczą w tej szkole? — oburzył się dziadek.

— Szczerze mówiąc, kiedy była o nim lekcja, chorowałam. Czytałam tylko streszczenie.

Dziadek załamał ręce. Chyba nie dowierzał, że jego wnuczka mogła powiedzieć coś równie niedorzecznego.

— Jak wielki bohater — odezwał się wreszcie — ktoś, kto skończył Szkołę Rycerską, był rozbitkiem na Karaibach,

^{*} Insurekcja kościuszkowska to polskie powstanie narodowe przeciwko Rosji i Prusom w 1794 roku. Zapoczątkowało je ślubowanie złożone 24 marca przez Naczelnika powstania Tadeusza Kościuszkę na Rynku Głównym w Krakowie.

znał indiańskiego wodza i przeżył nieszczęśliwą miłość, może być nudny?

— Był rozbitkiem? — Antoś, wielki amator morskich przygód, aż podniósł się z łóżka.

— Kumpłował się z wodzem Indian? — Kuba wytrzeszczył oczy. Właśnie przeczytał książkę o czerwonoskórych i uważał, że nie ma nic wspanialszego od skradania się i tropienia śladów.

— Nieszczęśliwa miłość? — Sonia nadstawiła uszu. — O tym nie było w szkole!

— No ale skoro jest taaaki nuuudny, nie będę wam zawracać nim głowy. — Dziadek włożył beret do szuflady i wyszedł z sypialni. Chyba tylko Antoś zauważył, że ma przy tym chytrą minę. Za nim szybkoitko wysunęła się Sonia.

— Ale co to za miłość? Powiedz mi, powiedz! — prosiła przymilnie.

— Nie chcę cię zanudzić — odparł twardo dziadek i schował się w swojej bibliotece.



— No dobrze — zgodziła się wreszcie babcia, siadając z nimi do stołu. — Opowiem.

— Mam nadzieję — powiedziała rozmarzona Sonia, przyciskając dłonie do piersi — że był młody, a jego ukończona piękna i biedna. I że umarła na suchoty jak Ruby, ta przyjaciółka Ani Shirley z Zielonego Wzgórza.

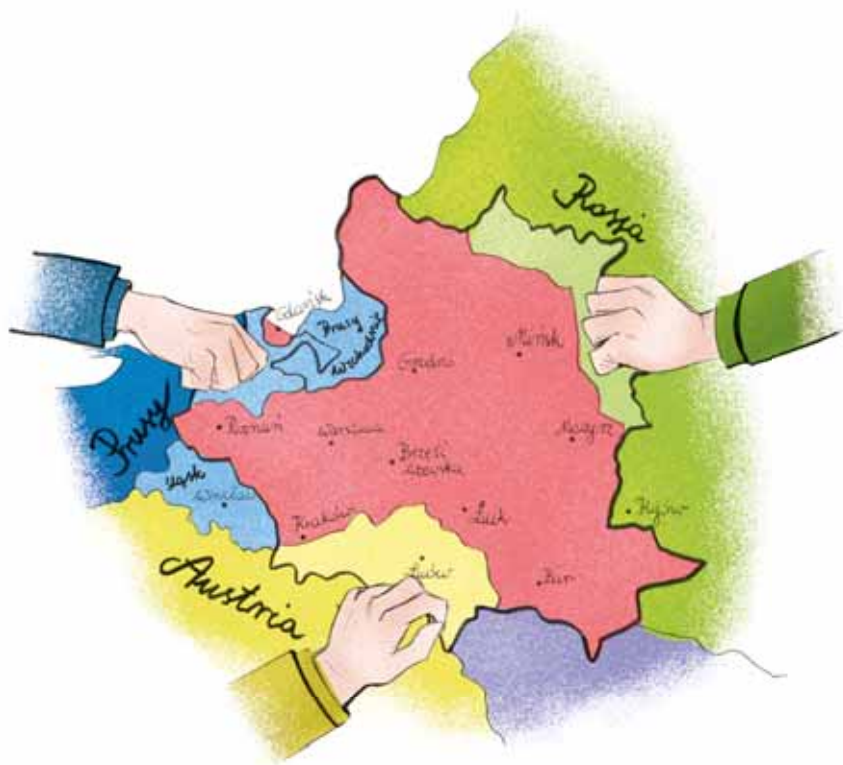
— Było inaczej, ale nie mniej romantycznie — zapewniła babcia. — Jak by tu zacząć...? Dawno, dawno temu pewien urodziwy młodzieniec z dobrego domu...

— Kościuszko? — zdziwiła się Sonia, wspominając portret Naczelnika, na którym był już w sile wieku i raczej średnio przystojny.

— ...kapitan artylerii Andrzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko herbu Roch III — uściśliła babcia — właśnie wrócił z Francji, gdzie skończył studia w Wersalu.

— Ależ babciu! Tam przecież jest pałac królewski! Taki do zwiedzania! — zauważył Antoś. W zeszłym roku był z rodzicami w Paryżu i doskonale pamiętał to miejsce. Chociaż Disneyland lepiej.

— Ty matolku, to było wieki temu — prychnął Kuba. — Myślisz, że wtedy wpuszczali tam turystów?



Antoś otworzył usta, żeby powiedzieć coś mądrego, co by znaczyło, że wcale nie jest takim „matołkiem”, ale nic mu nie przyszło do głowy. Zamknął więc buzię i po prostu słuchał dalej.

— To prawda, minęło już ponad dwieście lat — przyznała babcia. — Niestety, w czasach, kiedy Kościuszko uczył się malarstwa, wojskowości i technik inżynierskich, Polskę rozdarły trzy wielkie kraje: Rosja, Austria i Prusy^{*}. Został

^{*} Był to pierwszy rozbiór Polski, który miał miejsce w 1772 roku.

tak niewielki skrawek Rzeczypospolitej, że w stacjonującym tam wojsku nie było dla niego posady.

— Niezbyt romantycznie — zauważyła rozczarowana Sonia.

— Cierpliwości, to dopiero początek — powiedziała babcia. — Pewien zamożny człowiek, hetman^{*} Józef Sosnowski, szukał akurat nauczyciela matematyki, francuskiego i rysunku dla swoich córek. I wtedy młodego kapitana polecił mu sam król Stanisław August.

— Król Staś? — zachwyciła się Sonia. — Ten od obiadów czwartkowych?

— Ten sam.

Antoś, który cały czas liczył, że dowie się czegoś o morskiej wyprawie, piratach i rozbitkach, machnął niecierpliwie ręką na kuzynkę i syknął:

— A kogo obchodzą obiady? Nie przeszkadzaj!

Sonia przewróciła oczami, jak to dziewczyna, ale wreszcie przestała się wtrącać.

— W Sosnowicy nad rzeką Piwonią — opowiadała dalej babcia — hetman Sosnowski miał prawdziwy pałac. Piękny, duży, pełen przepychu i otoczony parkiem. Tam właśnie

^{*} Hetman to jedna z najwyższych funkcji w wojsku w dawnej Rzeczypospolitej.

Kościuszek uczył jego córki: Ludwikę i Katarzynę. A że był przystojny, oczy miał duże i rozmarzone, warkocz długi i gruby...

— No nie! — zawołał Antoś. — Warkocz?!

— Indianie też nosili warkocze — odezwał się Kuba i to chyba przesądziło sprawę.

Antoś uznał, że warkocze są wporzo. Włożył do ust grzanekę z masłem i starał się chrzęścić jak najciszej.

Babcia wypila łyk kakao.

— Jak już mówiłam, Kościuszek bardzo się pannom podobał, zwłaszcza Ludwisi. I nic dziwnego. Wiedział wszystko o francuskiej kuchni, najnowszej modzie, literaturze



i architekturze, zaprojektował nawet hetmanowi elegancką altanę i ogród na wzór wersalski. Miał też świetne maniery, pięknie rysował i recytował.

— Jeden facet? Umiał to wszystko? — mruknął z powątpiewaniem Kuba.

— O tak. Do tego potrafił z pasją opowiadać o swoich podróżach przez Alpy i wyprawie na szczyt wulkanu. Grał również na skrzypcach i flecie. Krótko mówiąc, mimo młodego wieku, był człowiekiem światowym.

— Ech — westchnęła Sonia — teraz już nie ma takich chłopaków.

Kuba i Antoś wybuchli gromkim śmiechem, ale — zmierzni jej srogim spojrzeniem — umilkli.

— Tadeusz śliczną Ludwikę spotykał już wcześniej, w Warszawie — ciągnęła babcia — kiedy sam uczył się w Szkole Rycerskiej, a ona na pensji. Polubili się, i to bardzo, skoro zaprosił ją na swój bal absolwentów...

— Bal absolwentów...! — wyszeptała Sonia. — W szkole dla rycerzy...

Babcia tylko odchrząknęła, zupełnie nie zważając na chichoty chłopców, i mówiła dalej.

— Młodzi pokochali się jednak dopiero w Sosnowicy. W miejscu, w którym wyznali sobie miłość, Kościuszko posadził ze swą ukochaną dwa drzewa: dąb i sosnę. Drzewa rosły blisko siebie i splotły się, niczym w uścisku. Ale tylko drzewom było dane pozostać na zawsze razem. Gdy młody kapitan oświadczył się, usłyszał od hetmana, że „synogarlice nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szlachetków”.

— Nie rozumiem. — Sonia zmarszczyła brwi.



— Kościuszko był biedny, do tego wstawił się kiedyś za chłopem skazanym na chłostę, co się hetmanowi nie spodobało. Ale najważniejsze okazało się to, że Ludwikę w tajemnicy obiecano już komuś innemu. Komuś zamożnemu, z książęcego rodu. Tym kimś był syn księcia, Józef Lubomirski.

— I ona się zgodziła? — oburzyła się Sonia.

— Ależ skąd. Zrozpaczony Tadeusz chciał ją porwać, niektórzy mówią, że nawet to zrobił, za co dostał straszny łomot — dodała babcia szeptem. — Niestety ojciec i tak wydał ją za Lubomirskiego. A biedny kapitan artylerii musiał uciekać za granicę, żeby nie skończyć przed sądem. I tak nieszczęśliwa miłość wygnała Kościuszkę najpierw na zachód, do Francji, i wreszcie hen, aż za wielką wodę — do Ameryki.

Na te słowa Antoś się wyprostował.

— Nareszcie będzie o piratach! — zawołał zadowolony.

— O nie. — Babcia z hałasem zaczęła zbierać naczynia po śniadaniu. — O tym niech wam opowie ktoś inny.



Amigo był najwspanialszym i najmądrzejszym konikiem na świecie. Nie tylko spokojnie spacerował z Antosiem na grzbiecie, ale też pozwalał mu się głaskać i poklepywać. Kucyk miał długi ogon, karą maść i bystre spojrzenie. A kiedy chłopiec dał mu soczystą marchewkę, schrupał ją ze smakiem.

— Pamiętaj zawsze o bezpieczeństwie — tłumaczył dziadek, zapinając Antosiowi kask przed jazdą. — A teraz włóż stopę w strzemię. Bardzo dobrze.

Dziadek Adam wyjaśnił mu, jak podchodzić do kuczka i wskakiwać na siodło, i wiele innych ważnych rzeczy. Na przykład że taki powolny chód konia to stęp, a długi sznur, na którym chodził w kółko Amigo, to lonża. W sumie było tak fantastycznie, że nie wiadomo kiedy minęła pierwsza lekcja.



— I jak mi poszło? — dopytywał chłopiec.

— Świetnie! Jesteś prosty jak struna, kolana trzymasz jak trzeba, łydki i wodze też. Jutro już pokłusujesz.

— Co zrobię?

— Pokłusujesz. Kłus to taki szybszy chód konia, jakby truchcik. Przy kłusie jeździec unosi pupę w rytm końskich kroków. Sam zobaczysz.

Kiedy Antoś odpoczywał w cieniu drzewa, pijąc zimną lemoniadę i jedząc drugie śniadanie, zobaczył kuzyna. Kuba — skulony, na zgiętych nogach, przemykał za drewnutnią z kijami w ręce. To było naprawdę dziwne. Antoś wziął kolejny kęs, rozglądając się uważnie. A może mu się tylko zdawało? Teraz w pobliżu nie było żadnego rudego chłopca.

— Angard! — wrzasnął nagle Kuba, wyskakując na niego zza krzaka. — Broń się, jeśli ci życie miłe!

Antoś zakrztusił się.

— Odbiło ci? Nie jestem żaden „angard”!

— To takie zawołanie. Jakby... gotuj się do walki. No, dalej! — Kuba dźgnął chłopca lekko jednym z patyków i rzucił mu go na kolana. Chwilę potem walczyli zapamiętane niczym rycerze jedi.



To była bardzo głośna potyczka, pełna pokrzykiwania, latających w koło drzazg, uników i drobnych zwycięstw. Niestety zwróciła uwagę dorosłych. Babcia, która właśnie wyszła z domu, by zebrać brudne naczynia, aż załamała rękę. Był to bowiem moment, w którym młodszy z chłopców „oddawał pola”, czyli przegrywał.

— Kuuuba! — wrzasnęła babcia z dala, rzucając się Antosiowi na ratunek. — Jak możesz?!

— To nic — odwrzasnął Antoś, padając widowiskowo na kolana. — Ja... tylko... chrrrr... ginę w walce...

— Chłopaki! — Babcia potrząsnęła głową w zdumieniu.
— Kto ich zrozumie?

Chłopcy, zmachani, brudni i szczęśliwi, otarli spocone czoła. Prawdziwa walka była sto razy lepsza od takiej na konsoli.

— Kasieńko, oni tylko próbują szermierki — zabrzmiał tubalny głos dziadka. — Jak rycerze. Zresztą w Szkole Rycerskiej właśnie w ich wieku zaczynało się naukę.

Babcia wzniosła ręce ku niebu, co było całkiem zabawne, bo trzymała tacę z kubkami po lemoniadzie, i bez słowa wróciła do domu. Chłopcy zaś, jakby w nich piorun strzelił, podbiegli do dziadka Adama.

— Szkoła Rycerska? Z szermierką? — dopytywali się jeden przez drugiego. — Czy to ta, do której chodził Kościuszko?

— Właśnie ta — zapewnił dziadek. — Jej pełna nazwa brzmi Akademia Szlacheckiego Korpusu Kadetów J.K.M. i Rzplitej. Ale mówiono na nią Szkoła Rycerska lub Korpus Kadetów^{*}.

— A co trzeba było zrobić, żeby się tam dostać?

^{*} Tadeusz Kościuszko wstąpił do Szkoły Rycerskiej, gdy miał 19 lat. W kolejnych naborach do szkoły przyjmowano dużo młodszych kadetów.

— Trzeba było być polskim szlachcicem i umieć czytać i pisać — wyjaśnił dziadek.

— To dopiero szkoła! Cały dzień w siodle i ciachanie szablą! — wyraził swoje uznanie Kuba. — No po prostu full wypas!

Dziadek spojrział na niego z ukosa i powiedział:

— Owszem, kadeci jeździli konno i ćwiczyli się w fechtunku^{*}, ale nie uważasz, że byłoby to trochę za mało?

— Wiem! — Antoś machnął swoim patykiem. — Trenowali też z kijem! Jak samuraje!

— W Rzeczpospolitej? W osiemnastym wieku? — sapnął dziadek

^{*} Fechtunek, inaczej szermierka, to sztuka władania szablą, szpadą lub floretem.



z rozbawieniem. — Nie. Poznawali języki obce, literaturę, nauki ścisłe, a nawet uczyli się manier, kaligrafii i tańca.

— Żartujesz! — nie dowierzał Antoś. No bo kto słyszał, żeby rycerzy uczono tańczyć?! I jeszcze — ładnie pisać!

— Ani trochę — odparł dziadek Adam, unosząc palec w górę. — To była elitarna szkoła, najlepsza w kraju, która kształciła przyszłych dowódców wojsk. Jej komendantem był książę Adam Czartoryski. Panowała tam surowa dyscyplina.

— A co im mogli zrobić? — prychnął Kuba. — Musieli sprzątać swój pokój?

— O nie, od tego mieli służbę.

— Super! — Chłopcy byli zachwyceni.

Ale wtedy dziadek dorzucił:

— Za złe zachowanie kadetom groziły naprawdę surowe kary. Uczeń, który złamał regulamin, trafiał do aresztu albo musiał klęczeć. Bywało nawet, że dostawał razy płazem szabli.

— Ale jak to — szabłą? — dopytywał się Antoś.

— Płazem szabli, czyli płaską stroną.

— Auć! — jęknął Kuba, który w klasie czasem rozrabiał.

— Ja dziękuję za takie lanie! Myślisz, dziadku, że Kościuszko... też obrywał?

Dziadek Adam zdjął kucykowi siodło i przerzucił je przez drewniane ogrodzenie.

— Podobno kadet Kościuszko łatwo wpadał w złość — powiedział z namysłem — więc kto wie? Ale znany był głównie z pilności i dobrych ocen. Młody Tadeusz był bardzo zdyscyplinowany, pracowity i lubiany. Tak jak jego koledzy wstawał o szóstej rano, wkładał mundur, szedł na mszę, jadł skromne śniadanie i siedem godzin dziennie uczył się wielu rzeczy przydatnych w wojsku. Na przykład musztry^{*} i kartografii^{**}, albo jak się buduje fortyfikacje. Wychodził też w teren, gdzie sprawdzał się w czytaniu map.

Chłopcy nie wiedzieli, co to są fortyfikacje, dziadek wytłumaczył im więc, że to wojskowe budowle, dzięki którym można lepiej się bronić w bitwie. Antoś i Kuba zgodnie uznali, że takie umocnienia mogą się przydać. Sami przecież wskakiwali do rowu,

* Musztra to szkolenie żołnierzy w sprawnym wykonywaniu rozkazów.

** Kartografia jest nauką o mapach, ich sporządzaniu i używaniu.



za krzaki i stajnię, kiedy walczyli na kije, to znaczy, na miecze. A może szable?

— Tylko na co komu te... maniery? — Antoś rozłożył ręce.

Dziadek uniósł jedną brew i uśmiechnął się szelmowsko.

— Absolwenci Szkoły Rycerskiej przyjmowani byli na królewskich dworach. Musieli się umieć zachować i, za przeproszeniem, nie pluć pod stół.

— Ja nie pluję pod stół — oświadczył z powagą Kuba. — A czytanie map jest fajne. Nie wiem tylko, czy chciałoby mi się tyle uczyć.

— Zwłaszcza musztry — dorzucił Antoś.

— Nie wszyscy kadeci dawali radę. Kościuszko w każdym razie wyraźnie wyróżniał się w szkole — odparł dziadek Adam, otrzepując buty. — Dostał nawet królewskie stypendium, by dalej kształcić się w Paryżu. Już wtedy nauczyciele i koledzy widzieli w nim wielki talent wojskowy. Otrzymał nawet przezwisko Szwed, bo charakterek, upór i ambicje miał niczym znany z wojen „Szwedzki Meteor” — król Karol XII.



Przez resztę dnia Antoś i Kuba wymyślali sobie fajne przezwiska. Uznali, że super będzie wrócić z wakacji jako Piorun, Thor albo Fireboy. No bo przecież Antków i Jakubów jest pełno, a taki z przydomkiem byłby jeden. To powinno zaimponować dzieciakom w klasie i na podwórku. Niestety podsłuchiwała ich Sonia.

— Te wasze ksywki brzmią zupełnie jak imiona koni — powiedziała lekceważąco.

Chłopcy spochmurnieli, zwłaszcza że miała rację, i na tym skończyło się wyszukiwanie pseudonimów. Nie tylko oni mieli kiepski humor. Dziadek, odkąd wrócił z domu kultury, chodził skwaszony niczym ogórek. Nie pomogło nawet smakowite spaghetti, które babcia przyrządziła specjalnie dla niego. Siedział przy obiedzie ponury, nie żartując i nie zagadując wnucząt.

— Co się stało? — spytała wreszcie Sonia. Jak zwykle nie umiała trzymać języka za zębami. Jak facet się nie

odzywa, to znaczy, że nie ma ochoty gadać. To chyba oczywiste!

— Iii... — Dziadek machnął ręką. Wiadomo, woli milczeć. Ale wytłumacz to dziewczynie. No nie da się.

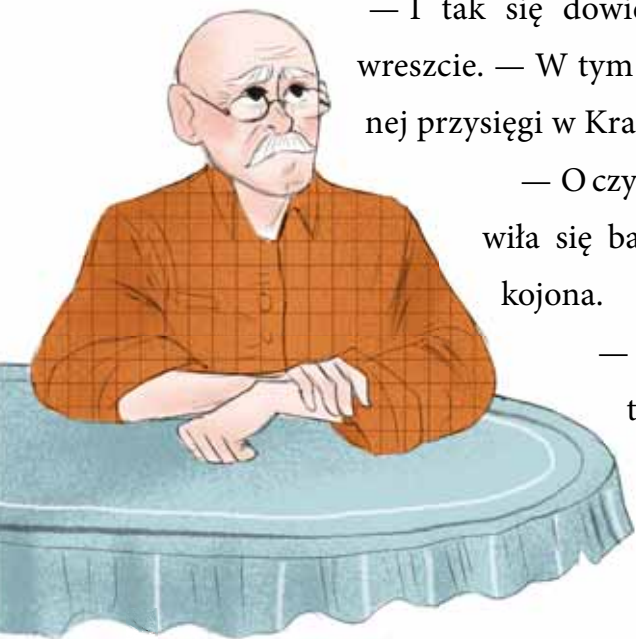
— Dziadku, dziadku, proszę, no poowiedz — zapiszczała przymilnie Sonia.

Dziadek Adam wbił wzrok w pusty talerz. Mimo złego nastroju zjadł wszystko, nawet fasolkę szparagową, za którą ponoć nie przepadał.

— I tak się dowiecie — odezwał się wreszcie. — W tym roku nie będzie żadnej przysięgi w Krakowie.

— O czym ty mówisz? — zdziwiła się babcia, lekko zaniepokojona.

— Mirecki stwierdził, że to on zagra Kościuszkę. Bo mundur Naczelnika jest jego.



— Romek Mirecki tak powiedział?! — zawołała babcia z oburzeniem. — Przecież ci obiecał!

— Dobrze słyszysz, właśnie on. To ja mu na to: w takim razie insurekcja będzie na piechotę. Bo ja koni nie dam.

I dziadkowie zaczęli do siebie nerwowo szeptać.

— Kim jest ten Mirecki? — spytał Adaś, wymykając się z Sonią i Kubą z jadalni.

— To dyrektor tutejszego domu kultury — wyjaśniła Sonia. — Prowadzi też grupę, która odtwarza historyczne wydarzenia; tacy zapaleńcy z Olszówki i Krakowa. Jego żona szyła kostiumy dla teatru, stąd mieli piękne mundury. Za to nasz dziadek ma konie i zbiera broń, zwłaszcza białą.

— Dlaczego białą? — zdziwił się Antoś. — Nie może być w innym kolorze?

— Nie białą-białą! — Kuba pokręcił głową. — Białą, w znaczeniu, że takie tam noże, szable, bagnety. Nie widziałeś jego zbiorów w bibliotece?

Antoś poczerwieniał. Nie przepadał za czytaniem. Skąd mógł wiedzieć, że dziadek ma w bibliotece takie fajne rzeczy?

— I co z tym Mireckim? — szybko zmienił temat.

— Podobno i tak nie mieści się w mundur, pewnie dlatego obiecał... Ale, jak widać, zmienił zdanie. — Sonia

zmarszczyła czoło, jakby zaświtał jej jakiś pomysł, a potem nagle rzuciła: — Muszę coś sprawdzić. Powiedzcie babci, że wrócę na kolację! — I poleciała, aż się za nią kurzyło.

Chłopcy bez słowa siedli na ganku przed domem. To dziwne, ale dopiero kiedy usłyszeli, że nie zobaczą dziadka w tej odjechanej inscenizacji, poczuli się zawiedzeni.

— Kicha — powiedział smętnie Antoś.

— Beznadzieja — zgodził się Kuba. — Chciałem to nagrać smartfonem i wrzucić na fejsa. Wszystkim gały wyszłyby na wierzch.

— Aha. — Antoś kiwnął głową. — Zwłaszcza gdyby była tam telewizja. Taka prawdziwa, z dużymi kamerami. A właściwie o co chodzi z tą przysięgą? I in... instrukcją kościuszkowską?

— Insurekcją — poprawił go Kuba. A potem wrzucił ramionami. — Nie mam pojęcia. Nie miałem jeszcze historii.

Chłopcy westchnęli i wbili wzrok w ziemię.

— W domu kultury jest teraz wystawa o insurekcji — rzucił od niechcienia Kuba. — I moglibyśmy popytać o tego Mireckiego.

— Pójdziemy? — Antoś wyprostował się, gotowy do działania.

— Idziemy! Ale dziadkowi... — Kuba poruszył się niespokojnie, zerkając przez okno do wnętrza domu. — Po prostu lepiej mu nie mówmy.



Wystawa poświęcona Kościuszcze

była niewielka. Tworzyły ją głównie obrazy przedstawiające bitwy pod rozkazami Naczelnika oraz jego przysięgę na krakowskim Rynku. Wzdłuż ścian prezentowano eleganckie mundury oficerów oraz proste sukmany kosynierów* z krakuskami — czerwonymi czapkami bez daszka, obszytymi futerkiem. Obok umieszczono kilka kos umocowanych na sztorc, a pod nimi informację: „Kostiumy wykonała Aldona Mirecka, kosy bojowe ze zbiorów Adama Czarnoty”. Wzrok przyciągała



* Kosynierzy byli to żołnierze uzbrojeni w kosy bojowe. Wywodzili się z oddziałów chłopskich.

jednak stojąca na środku gabłota z generalskim mundurem i czapką z piórkiem. Ten uniform był zdecydowanie najwspanialszy. Miał piękne naramienniki z frędzlami, szarfę oraz ordery, którymi uhonorowano Kościuszkę. Dziadek z pewnością wyglądałby w nim fantastycznie.

— Niezły — stwierdził z uznaniem Antoś.

— Ale bez szabli i pistoletów — zauważył Kuba. — Pewnie medale też są lipne.

— A co, myślałeś, że będzie tu prawdziwy Virtuti Militari? — Usłyszeli czyjś mocny, dźwięczny głos. Chłopcy odwrócili się i ujrzeni starszego pana z burzą siwych włosów spiętych w kitkę. — Po minach widzę, że nie wiecie, co to takiego.

— Wiemy! — odparował Kuba. — Order.

— Ale jaki? — Pan z kitką stuknął palcem w szkło gablotki na wysokości odznaczenia przypiętego niebieską wstążką.

— Nooo... taki wojskowy — bąknął Kuba. Na tym, niestety, kończyła się jego wiedza.



— Virtuti Militari to jedno z najwyższych odznaczeń w Polsce i najstarsze odznaczenie wojenne na świecie, które przyznawane jest do dziś. Kościuszko dostał je w 1792 roku za bitwę pod Zieleńcami. Od króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

— To ten król, co jadł obiady tylko w czwartki — wtrącił cicho Antoś.

— Nieprawda — odszepnął mu Kuba. — Sonia mówiła, że wtedy zapraszał artystów.

Pan z kitką odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

— Virtuti Militari najpierw był okrągły, ale od dawna ma kształt krzyża. Jego dewiza brzmi: Honor i Ojczyzna — powiedział z dumą.

Chłopcy wbili wzrok w rząd medali.

— A ten? — Antoś wskazał nieśmiało na odznaczenie ze złotym orłem.

— O, to też coś wyjątkowego! To Order Cyncynata, Kościuszko jest jedynym Polakiem, którego tak uhonorowano. Wręczył mu go sam Waszyngton.

— Myślałem, że Waszyngton to miasto — zdziwił się Kuba. Przeczytał



już dwa komiksy o czerwonoskórych i wiedział co nieco o Ameryce.

— Masz rację, miasto i do tego stolica — zgodził się pan z kitką — nazwana tak na cześć Jerzego Waszyngtona, pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Amerykanie mówią, że jest ojcem ich narodu.

— I za co ten order? — dopytywał się Kuba.

— Odznaczano nim najbardziej zasłużonych oficerów, takich, którzy potrafili wszystko porzucić, by służyć ojczyźnie. A taki właśnie był Kościuszko: ofiarny, wytrwały i niezwykle dzielny. Po jednej z bitew miał w płaszczu cztery dziury po kulach! Ha! Cztery! Dziury! — Pan z kitką dźgnął palcem powietrze, jakby chciał je poprzekłuwać. — Bardzo go tam ceniono. Przyjaźnił się z nim sam Thomas Jefferson, trzeci prezydent USA.

Chłopcy wytrzeszczyli oczy. Starszy przystawił nos do szyby, a młodszy aż pokręcił głową, zdumiony.

— Coś takiego! Wiedziałem tylko, że kiedy Kościuszko płynął do Ameryki, to jego statek zatonął — przyznał się Antoś. I nagle wpadł na świetny pomysł, jak dowiedzieć się czegoś o wyprawie morskiej Naczelnika. — Wie pan coś o tym więcej?

Pan z kitką uśmiechnął się, a oczy aż rozbłysły mu z zadowolenia. Chyba lubił mówić o historii.

— Coś tam wiem. Sam posłuchaj! Był rok 1776, a Kościuszko, chociaż świetnie wykształcony w sztuce wojennej, nie znalazł posady w Europie. Popłynął więc do Nowego Świata, jak zwano wtedy Amerykę, licząc, że poszczęści mu się w tamtejszej armii. A żeby fortunie nieco pomóc, miał ponoć ze sobą list polecający od księcia Adama Czartoryskiego.

— O! — zawołał Kuba. — Przecież Czartoryski był komendantem w jego szkole!

— To prawda. — Pan z kitką spojrział z uznaniem na chłopca. — Księżę napisał do amerykańskiego generała Charlesa Lee, którego kiedyś gościł, żeby wsparł młodego Kościuszkę. Spójrzcie! — Tu wskazał na obraz przedstawiający piękny żaglowiec. — Właśnie takimi okrętami pływano wówczas do Ameryki.

Antoś oczami wyobraźni ujrzał rozdęte żagle, czyste niebo i lśniący pokład. Chciałby tak kiedyś popłynąć w nieznaną!

— To pewnie całkiem przyjemna podróż — odezwał się z nutą zazdrości w głosie.

Starszy pan splótł dłonie na okazałym brzuszku i pokręcił głową.

— Pod warunkiem, że wiatry sprzyjają. Niestety pogoda była tak paskudna, że rejs trwał dwa razy dłużej niż normalnie. Okręt płynął i płynął, a kiedy był już blisko celu, okazało się, że nie może przybić do żadnego z portów.

— Zgubili kotwicę? — zdumiał się Antoś.

— Nie. — Pan z kitką uśmiechnął się szeroko, rozbawiony. — Toczyła się wtedy wojna. Na rozkaz swego króla Brytyjczycy przejmowali i łupili okręty zmierzające do amerykańskich portów. To był wielki kłopot, bo po tak uciążliwej podróży trudno tygodniami czekać na morzu. Dlatego kapitan obrał kurs na Karaiby. Jak się okazało, żegluga przez niebezpieczne wody nie była dobrą decyzją...

— O rany! — zawołał podekscytowany Antoś. — Napadli ich piraci? Piraci z Karaibów?!



— Jacy piraci? — huknął pan z kitką. — To był czas tropikalnych huraganów. Rozpętał się potężny sztorm, istne wodne piekło! Dął silny wiatr, ocean był wzburzony, fale zalewały pokład, żaglowcem rzucało jak łupinką... Wtem okręt uderzył o rafę koralową tak mocno, że popękały mu burty. Wytworzył się wir i siup! Drewniane szczątki znikły w odmętach. Wielu utonęło, ale Kościuszek cudem ocalał!

Chłopcy aż pochylili się w stronę rozmówcy. Oczy mieli szeroko otwarte.

— Jak? — chciał wiedzieć Antoś. — Jak się uratował?!

— Uczepił się złamanego masztu i tak dobił do brzegów Martyniki, jednej z karaibskich wysp. To było wielkie wydarzenie, napisali o nim nawet w warszawskich „Nowinach”. — Pan z kitką podszedł do ostatniej gablotki, gdzie leżała kopia jakiejś notatki ze starej gazety. — O, to właśnie ten fragment. Posłuchajcie: „Wielmożny pan Kościuszek, obywatel kraju naszego, uwolniwszy się od nurtów morskich, z pięcioma innymi Polakami masztu się chwycił, do wyspy zapłynął i dzięki Opatrzności Boskiej przy życiu został zachowany”.

— Ale numer. — Kuba się rozpromienił. — Kościuszek w gazecie! Tyle lat temu!

— Bardzo dziwnie wtedy pisali — zauważył Antoś.

— Rozbitków znaleźli mieszkający tam Kreole — kontynuował pan z kitką. — Opatrzyli rannych, dali im dach nad głową. Ale Kościuszko wciąż myślał o Ameryce. Miesiąc później wynajął łódź rybacką i, płynąc wzdłuż wysp, dotarł do Miami. A potem...

Co jednak było potem, tego Antoś i Kuba już się nie dowiedzieli. Skrzypnęły bowiem drzwi, a w nich stanęła Bardzo Poważna Pani w garsonce.

— Przepraszam, panie dyrektorze — powiedziała grzecznie, ale stanowczo — jest telefon z Krakowa. Aha! A w gabinecie czeka pana wnuk.

— To do zobaczenia! — Pan z kitką pomachał im przyjacielsko dłonią.

Chłopcy zdębieli. Ilu dyrektorów może być w domu kultury?

— Jak myślisz, czy to... — szepnął Antoś.

— Panie Mirecki! — zawołała ponaglająco Bardzo Poważna Pani.

Pan z kitką, to znaczy pan Mirecki, uśmiechnął się przepraszająco i zniknął w swoim gabinecie.

— O rany — jęknął Kuba. — A ja go polubiłem!

— Ja też — przyznał się Antoś. — Trzeba go będzie znienlubić.

— No tak — zgodził się Kuba — za mundur Kościuszki.

A potem westchnęli, zgodnie i smutno. Pan Mirecki był bardzo sympatyczny i, chociaż miał burzę włosów zamiast lśniącej łysiny, ogromnie przypominał im dziadka Adama. Było coś jeszcze, co sprawiło, że zrzędy im miny. Pierwszy zorientował się Antoś.

— A żeby to koń kopnął! — jęknął niespodziewanie i aż plasnął się dłonią w czoło.

— Co się stało? — spytał Kuba.

— Przyszliśmy tutaj dowiedzieć się czegoś o tej, no... instrukcji!

— Instrukcji — poprawił go odruchowo Kuba i złapał się za głowę. — O nie! Ale z nas matołki!

Jedyną pociechą dla Antosia było to, że nie jest jedynym matołkiem w Olszówce. Ale każdy chyba przyzna, że marny to powód do zadowolenia.



Sonia była nie do wytrzymania. Chodziła z tajemniczą miną, jakby wiedziała coś, czego inni nie wiedzą, i czytała po kątach jakąś książkę. Kuba skradał się za nią cały wieczór, co kuzynka zbywała pogardliwymi prychnięciami.



Kiedy więc wreszcie siadła w fotelu, chłopcy postanowili zapytać ją wprost.

— Co kombinujesz?

— zagaił Kuba.

Sonia odwróciła się do niego tyłem i przełożyła kartkę. Od razu było wiadomo, że nie tędy droga. Dlatego Antoś próbował inaczej.

— Nie widzisz, że czyta? — powiedział z udawaną

naganą w głosie. A potem spytał przymilnie: — To dla młodej, prawda Soniu?

— Nie bardzo — mruknęła, nawet nie podnosząc wzroku.

— Pewnie jakieś głupoty — skwitował Kuba. — No wiesz, dziewczęńskie.

— Skoro chcesz wiedzieć — odparła Sonia, zadzierając nosa — to publikacja historyczna z biblioteki dziadka.

— Publikacja historyczna — przedrzeźniał ją Kuba. — I zrozumiałaś coś z tego?

— A owszem. — Poirytowana Sonia z hukiem zamknęła książkę. — Jest o tym, co Kościuszko robił w Ameryce.

— To akurat wiemy — powiedział szybko Antoś. — Był rozbitkiem, dzielnie walczył i dostał wielki order ze złotym ptakiem.

— Orłem — dorzucił Kuba.

— Dzieciaki. — Sonia przewróciła oczami. — Nie od razu tak się stało. Kiedy Kościuszko dotarł wreszcie do Ameryki, nie miał grosza przy duszy. Wszystko stracił, co więcej był sam, w obcym kraju. Wielu by się załamało, ale nie on. Wiecie, co zrobił? Pojechał do Filadelfii i zapukał do drzwi Benjamina Franklina, wielkiej szychy w polityce^{*}.

^{*} Benjamin Franklin był jednym z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych.

— A po co?! — zawołali zgodnie chłopcy.

— Kościuszcze zostało tylko to, co miał w głowie. Wie-
dza. — Sonia popukała się palcem w skroń. — Ukłonił się
więc i powiedział grzecznie po francusku: „Dzień dobry,
panie Franklin. Jestem doskonałym inżynierem wojsko-
wym, właśnie takich potrzebujecie w swojej armii. A żeby
to udowodnić, chętnie zdam, teraz, zaraz, natychmiast, sto-
sowny egzamin!”

— Sam chciał zdać egzamin? Przed jakimś megaważ-
nym gościem? — Kuba aż otworzył buzię.

— O tak! I poszło mu całkiem dobrze, bo potem, w cza-
sie wojny z Brytyjczykami, budował specjalne umocnienia.

— Wiem! Fortyfikacje! — wtrącił Antoś. Był bardzo
z siebie dumny, że zapamiętał takie długie i trudne słowo.

Sonia kiwnęła potakująco głową.

— Diabelnie dobre fortyfikacje. Przez kilka lat umacniał
różne obozy amerykańskiej armii — najpierw w Filadelfii,
później na północy. Sławę przyniosła mu bitwa pod Sarato-
gą. Brytyjczycy oberwali tam, aż im w pięty poszło! A dzie-
ki komu? Dzięki Kościuszcze!

— Był taki dobry? — dopytywał się Antoś.

— Był świetny! W ciągu kilku lat został generałem.

— Chwila, chwila — odezwał się Kuba, który słuchał bardzo uważnie. — Brytyjczycy? Znowu Brytyjczycy? Myślałem, że wojsko Kościuszki biło się z Indianami.

— To nie ta wojna. — Sonia potrząsnęła energicznie głową. — W tej Amerykanie walczyli z Brytyjczykami o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

— Och. — Kuba nie krył rozczarowania. — I nie było tam Indian? Takich z pióropuszcami? No wiesz, co się skradają i tropią ślady?

— Pewnie, że byli. Niektórzy nawet znali Kościuszkę. I wiecie, co o nim mówili?

Chłopcy nie wiedzieli. Sonia ścisnęła sobie nozdrza i powiedziała zmienionym głosem:

— „Kościuszeko być prawy biały człowiek! Bardzo zacny! On szanować czerwonoskórych! Howg!”

Kuba i Antoś zachichotali.

— Indianie tak nie mówili! — zawołał starszy z nich.

— No dobra, nie mówili tego przez nos — zgodziła się Sonia. — Ale naprawdę bardzo go cenili. Pewnego razu, kiedy Kościuszeko był już stary, odwiedził go nawet indiański wódz Mały Żółw.

— Mały Żółw — powtórzył cicho Kuba.

— Był niezwykle waleczny i znany — powiedziała Sonia.
— I ten wódz przyjechał specjalnie po to, aby mu podziękować, że się wiele razy wstawiał za Indianami. A na znak przyjaźni dał mu bajerancki tomahawk. No to Kościuszkowski nie chciał być gorszy i też mu coś podarował.

— Ciupagę? — spytał Antoś, nim zdążył pomyśleć. Bo w sumie i tomahawk, i ciupaga to siekierki, więc właściwie czemu nie?

— Aleś wymyślił! Ciupagę! Może jeszcze z Zakopanego? To były dwa eleganckie pistolety. Kościuszkowski pokazał Indianinowi, jak się z nich strzela, i powiedział... Czekaj, zaraz znajdę ten fragment. — Kuzynka szybko przerzuciła



kilka stron i uśmiechnęła się zadowolona. — Powiedział tak: „Ja używałem tych pistoletów, próbując wyzwolić mój naród. Teraz ty użyj ich przeciwko tym, którzy będą chcieli podbić twój lud”.

— Mocne. I wszystko jest w tej książce? — dopytywał się Kuba.

— To i jeszcze więcej. — Sonia przytuliła książkę do piersi. — Czy to nie super, że nasz bohater był taki szlachetny? Zresztą nie tylko w stosunku do Indian, także dla czarnych niewolników, Żydów i chłopów pańszczyźnianych. W tamtych czasach mało kto tak postępował. Zwłaszcza, że bogaci i ważni ludzie strasznie się o to złościли. Ale Kościuszko miał to w nosie.

— Nie wiem tylko, po co ci to wszystko wiedzieć — drażnił się Kuba. — Dziadek i tak nie będzie za niego przysięgał.

— To się jeszcze okaże — odparła tajemniczo Sonia i znowu schowała nos w książce.



Rankiem, jeszcze przed lekcją jazdy, Antoś zakradł się do biblioteki dziadka. Oprócz regałów od podłogi aż po sufit, na których zalegały ogromne ilości książek, ujrzał przeszkloną witrynę, a w niej... lśniąca szable, bogato zdobione pochwy, pistolety i jeden absolutnie prawdziwy karabin.

— Łaaa! — aż jęknął z zachwytu. Przyłożył nos do szyby, a potem, tak niby niechcący, próbował się dostać do środka. Niestety kolekcja była zamknięta na klucz.

— Piękne, co? — Usłyszał znajomy głos. To dziadek Adam pykał sobie z fajeczki, przeglądając wiadomości w gazecie. Siedział w wielkim fotelu, nic więc dziwnego, że nie było go widać.

Chłopiec poczerwieniał.

— Ja... ja...

— Pewnie chciałbyś zobaczyć te cuda z bliska?

— Bardzo — wystękał Antoś.

Dziadek ochoczo otworzył witrynę i wyjął najpiękniejszą szablę, jaką chłopiec kiedykolwiek widział.

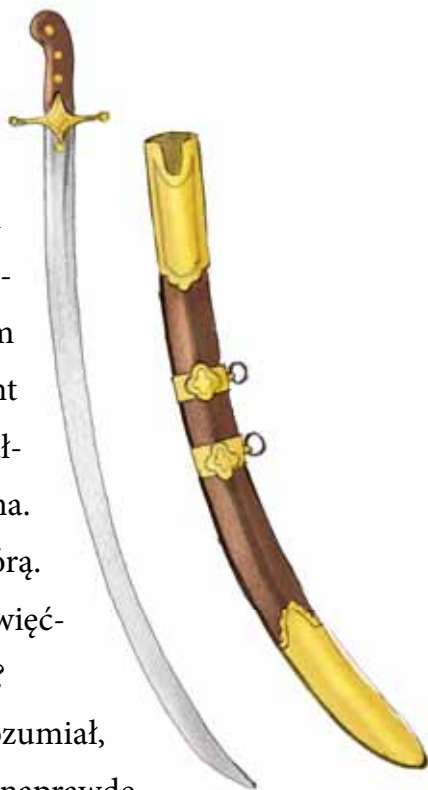
— Trzymaj — powiedział, wręczając mu ją, jak gdyby nigdy nic. — To karabela polska z końca osiemnastego wieku. Kto wie, może walczyła w jakiejś ważnej bitwie?

Antoś zważył szablę w dłoniach. To nie była plastikowa zabawka, jaką tłukł się z chłopakami podczas balu przebrańców.

— Ale ciężka! — sapnął. — Ostra?

— Mógłbym się nią golić — odparł dziadek z dumą. A potem dodał tonem eksperta: — Profilowana głownia z obusiecznym piórem. Na płazach ornament i napis. Jelec z mosiądzu w kształcie krzyża. Rękojeść drewniana. Pochwa z okuciami, kryta skórą. Długość całkowita ponad dziewięćset milimetrów! Bestia, czyż nie?

Chłopiec nic z tego nie zrozumiał, może tylko tę bestię, ale czuł, że naprawdę



jest niezwykła. Niechętnie oddał szablę dziadkowi, a on ostrożnie odłożył ją na miejsce. Lśniaca karabela uwięziona za szybą na powrót stała się eksponatem. Antoś westchnął z żalu, że minie jeszcze wiele lat, nim będzie mieć siłę nią machnąć.



Podczas jazdy na Amigo chłopiec cały czas rozmyślał o dziadku Adamie. Jak kocha historię, konie i starą broń. I że to okropnie niesprawiedliwe, że nie może zagrać Kościuszki przez jakiś mundur. Po lekcji bardzo chciał o tym porozmawiać z Kubą, niestety nigdzie nie mógł go znaleźć. Dopiero przed obiadem zauważył jego rudą czuprynę za kłującym krzakiem jeżyn. Kuzyn miał na szyi prawdziwą lornetkę, przez którą co rusz zerkał.

— A co ty tu robisz? — zdziwił się Antoś.

— Psyt! — Kuba przywołał go gestem do siebie i wyjaśnił szeptem: — Widzisz te odciski kopyt? Tropię je indiańskim sposobem. I szpieguję jak biały detektyw.

— Kogo?

— Wiadomo, Sonię! Ona coś kręci i ja mam na to dowód. Sam zobacz. — Szybkim ruchem wyjął z kieszeni smartfon

i pokazał mu jakieś zamazane zdjęcie. — Widzisz? No widzisz?!

Antoś długo obracał smartfonem, ale z każdej strony fotografia była nieostra.

— Nie bardzo — powiedział wreszcie. — To chyba ktoś na koniu. A obok drugi koń.

— Dokładnie! A kluczem do zagadki jest ten ktoś na drugim koniu. — Kuba sapnął zadowolony. Wtem zauważył coś w oddali i mruknął: — Kryj się! Sam zdemaskuję zdrajcę.

Antoś też spojrział w dal, ale nie było tam nikogo szczególnego. W ich stronę kłusowała tylko Sonia uśmiechnięta od ucha do ucha.

— Kryj się! No znikaj! Szybko! — ponaglił go kuzyn, a on, dla świętego spokoju, schował się za stajnię.

Kuba z trudem wygramolił się z jeżyn, wziął się pod boki i stanął na wprost zbliżającego się jeźdźca.

— No, no, no! Kogo my tu mamy?! — zawołał zadziornie.

Sonia zmarszczyła czoło, zaskoczona tym dziwnym powitaniem.

— A co, źle widzisz? — spytała, ściągając wodze. Jej koń stanął elegancko jak wmurowany.

— Myślisz, Sońka, że nie wiem, z kim się wałęsasz po lesie? Konno? — rzucił zaczepnie Kuba.

— No z kim? — spytała Sonia, zeskakując lekko na ziemię.

— Z tym wygolonym chłopakiem od Mireckich!

— Wcale nie jest wygolony — odparła spokojnie — tylko ostrzyżony na jeża.

— Aha! Czyli potwierdzasz, że to Mirecki?!

— Oczywiście, Krystian Mirecki, wszyscy to wiedzą. Tak jak my przyjechał na wakacje do swojego dziadka. Co w tym dziwnego?

Kuba zacisnął dłonie w pięści. Ze złości zrobił się cały czerwony.

— Trzymajcie mnie! Naprawdę nie rozumiesz? Bratasz się wrogiem! Kradziejem mundurów!

— Oj tam, oj tam. Po prostu się lubimy i oboje jeździmy konno. Mam się włóczyć po lesie sama? Poza tym nie ma takiego słowa „kradziej”.

— Wiedziałem, że coś kombinujesz! Z dziewczynami tak zawsze, one...

— Zanim powiesz za dużo, posłuchaj uważnie. — Podeszła do Kuby i ściszyła głos. — Krystian urobił swoją babcię, żeby nasz dziadek miał szansę zagrać Kościuszkę.

Kubie opadła szczęka.

— Jak to?

— A tak to. Kto szył ten mundur? Pani Aldona Mirecka! I to ona zdecyduje, kto go włoży na inscenizację. I to ci jeszcze powiem, że pan Roman tylko dlatego chciał być Kościuszką, żeby ucieszyć wnuka. Ale skoro i jego żona, i Krystian tak grzecznie go prosili... W każdym razie dzisiaj nastąpił przełom.

— Że co? — nie rozumiał Kuba.

— Wieczorem będzie mierzenie kostiumu. To znaczy munduru. Dziadek Adam i pan Roman umówili się, że Naczelnika insurekcji zagra ten, kto będzie lepiej się w nim prezentować. I co ty na to?

Kuba stał oniemiały. Na szczęście był ktoś, kto potrafił wyrazić, co czuje.

— Hurrrraaaa! — wrzasnął uradowany Antoś, wyskakując zza stajni. — Ale-bę-dzie-faj-nie!

— Dzieciaki! — prychnęła rozbawiona Sonia i przewróciła oczami, jak to dziewczyna.



Ale spryčiuła! Kto by pomyślał? Ale spryčiuła! — powtarzała z zachwytem babcia Kasia, zerkając co rusz na Sonię. Rozpierało ją takie zadowolenie, że upiekła wielką blachę placaka z porzeczkami i słodką chrupiącą pianką.

— Wielkie rzeczy! — mruknął zazdrośnie Kuba. — Przecież nic nie zrobiła!

Nie była to prawda. Wszyscy wiedzieli, że to dzięki Soni Krystian porozmawiał ze swoją babcią i nareszcie skończyła się ta niemądra kłótnia o mundur. Bo, szczerze mówiąc, każdy miał jej dosyć. I babcia Kasia, i pani Mirecka, i cała Grupa Historyczna. A najbardziej dziadek Adam i pan Mirecki, którzy tak naprawdę bardzo lubili spotykać się ze sobą i dyskutować o minionych czasach. Po niepotrzebnej sprzeczce obaj szukali tylko pretekstu, żeby się pogodzić. Ale Kuba jakoś nie widział zasług kuzynki. Uważał, że jego tropienie i detektywistyczne sztuczki prędzej czy później

zapewniłyby prawdziwy sukces. A na razie i tak nie było wiadomo, kto ostatecznie włoży kostium z gabloty.

— Nie zrozumiesz — powiedziała Sonia, wypychając do ust kawałek pysznego ciasta. — My, dziewczyny, mamy swoje sposoby na rozwiązywanie problemów.

— Tak, paplanie na fejsie — rzucił półgębkiem Kuba. A potem dodał już głośniej: — Jakoś nie słyszałem, żeby kobiety walczyły na wojnach. Na koniu. Z szablą.

— Bo pilnowały domu i dzieci — zasugerował Antoś, wyjadając resztki swojej porcji. Okruszki były najlepsze.

— Nie tylko — odezwała się babcia Kasia. — Kobiety od zawsze pomagały, jak mogły, często z narażeniem życia. Niestety mężczyźni niezbyt to doceniali. Pierwszym dowódcą, który potraktował je z należytyym szacunkiem, był Tadeusz Kościuszko. Nazywał je współobywatelkami i uważał, że ich wsparcie jest bardzo ważne. Dlatego, kiedy szykował się do przysięgi na krakowskim Rynku, jedną z odezww skierował do kobiet.

— Wiem, wiem! — zawołała Sonia, zrywając się na równe nogi. — Prosił je o bandażę i pomoc dla żołnierzy. Zaczynało się to tak: „Ozdoło rodzaju ludzkiego! Płci piękna!”

A że akurat miała całą buzię oklejoną okruciami pianki, Kuba i Antoś zarechotali złośliwie.

— „Płci piękna!” No, bardzo piękna! Bardzo! — wołali, omal nie spadając ze śmiechu pod stół. — Taka z wąsami!

— Ale o co chodzi? — dopytywała się Sonia. W tym momencie zerknęła w lustro wiszące nad komodą. — Ojej, ale się usmarowałam!

— Nie ma tu nic do chachania! — powiedziała surowo babcia Kasia, ścierając blat. — Gdyby nie kobiety, nie byłoby wtedy opatrunków dla rannych ani ciepłych koców, ani jedzenia. Fajnie się bez tego wojuje?

Chłopcy zamilkli, zawstydzeni.

— A co to jest odezwa? — spytał po chwili nieco oniesmielony Antoś.

— To taki apel do społeczeństwa, wezwanie do jakiegoś działania — wyjaśniła babcia. — Kiedy Kościuszko ruszał na najważniejszą z wojen, za ojczyznę, zwrócił się z odezwą do wojska, obywateli i właśnie do kobiet. Wojsko wzywał do walki, a ludność prosił o żywność, konie, płótno na namioty i odzież dla żołnierzy. Ojej — zreflektowała się nagle — ale wy, chłopcy, przecież nie mieliście jeszcze historii!

— No... nie — powiedział Kuba.

— A ja wam mętlik w głowie robię. Pewnie nawet nie wiecie, co to insurekcja!

— No właśnie tego nie wiemy — przyznał się Antoś.

— W takim razie wieczorem dziadek wam wszystko opowie. Koniecznie! Bo skoro jednak zobaczycie tę przysięgę, to warto wiedzieć, co i jak.

Od pewnego czasu Sonia podskakiwała na swoim miejscu jak na sprężynce. Babcia zwróciła się więc do niej, nieco zdziwiona.

— Tak, dziecko? Jeśli chcesz do łazienki...

— Nie! — odpowiedziała podenerwowana Sonia. Nie ma nic bardziej irytującego niż zawstydzające uwagi dorosłych. I to jeszcze w obecności młodszych kuzynów! — Chciałam się tylko wreszcie dowiedzieć KIEDY będzie ta inscenizacja.

— W sobotę. O dwunastej w południe. Oczywiście na Rynku Głównym w Krakowie.

— W tę sobotę? — upewniła się Sonia, sprawdzając jakąś wiadomość, która wyświetliła się na jej smartfonie. — Nie za szybko?

— Tak ustalono jeszcze przed wakacjami... Dokąd biegiesz?

— Zobaczyc przymiarke! — odkrzyknęła, trzaskając drzwiami.

Chłopcy szybko rzucili sobie porozumiewawcze spojrzenia i nim babcia się spostrzegła, wysunęli się z domu w ślad za kuzynką.



Może nie było to eleganckie, ale mieli stąd świetny punkt obserwacyjny — i to bez lornetki. Kuba i Antoś wdrapali się na ławkę pod domem państwa Mireckich i najbezcelniej w świecie zaglądali przez okno do środka. A widok był doprawdy pocieszny.

Najpierw kostium generała włożył pan Mirecki. Rękawy i długość munduru były dobre, problem zaczął się jednak, kiedy starszy pan próbował go zapiąć. Poły wciąż rozsuszały się mu na okrągłym brzuchu, wciągnął więc powietrze i z trudem zapiął guziki. Zadowolony stanął bokiem do lustra, przeczesał palcami starannie zaplecione włosy i z dumą spojrzał na swoje odbicie.

— Jak ułał, co nie? — stęknął. — A do tego fryzura jak trzeba. Czy widzicie ten wspaniały warkocz? Zupełnie jak u Kościuszki!

Chłopcy przysunęli się do szyby i nadstawili uszu.

— Dziadku! — jęknął jakiś nastolatek o bardzo krótkich włosach i aż zasłonił oczy.

— To ten Krystian — wyjaśnił szeptem Kuba.

— Domyśliłem się — odszepnął Antoś.

Pan Mirecki ostrożnie przykucnął, wyprostował się i trzasnął obcasami. Materiał naciągnął się mocno w okolicach zapięcia, co zapowiadało katastrofę.

— Urodzony wojskowy! — wydyszał ściśnięty do granic możliwości. Mimo że oddychał naprawdę z trudem, brzuch dzielnie trzymał w ryzach.

— Romuś, a jak ty chcesz w tym jechać na koniu? — spytała podstępnie starsza pani z taśmą krawiecką na szyi.

— A to pani Aldona. Też Mirecka — szepnął Kuba.

— Nooo, po prostu wsiądę i ruszę przed siebie — odparł niepewnie pan Mirecki.



— Chciałabym to zobaczyć — rzuciła szeptem Sonia. Dopiero teraz zauważyli, że stała tuż koło chłopca i wraz z nim ukradkiem chichotała. — Zwłaszcza, że będzie musiał zeskoczyć z konia, bo ślubowanie jest na stojąco.

Panu Mireckiemu wydłużyła się twarz, a mundur na brzuchu napiął się jeszcze bardziej.

— W każdym razie spróbowałem — oznajmił sucho, rozpinając guziki.

Chwilę później kostium Naczelnika wkładał dziadek Adam. Na nim niestety wcale nie wyglądał lepiej.

— Obawiam się, panie Czarnota... obawiam się... — zaczęła pani Mirecka i zamilkła.

Dziadek Adam prężył się przed lustrem, zupełnie jak pan Mirecki, i też zdawał się nie widzieć, jak niedobrze się w nim prezentuje.

— Profil — rewelacja! Zadarty nos jak się patrzy. Może rękawy są nieco krótkie... — mruknął, próbując je naciągnąć. — Ale poza tym... elegancja! W osiemnastowiecznym wydaniu!

— Dziadku! — zawołała Sonia. — One są do łokci...! Ten mundur na ciebie nie pasuje. Jesteś po prostu za wysoki.

— I zbyt łysy — dodał cicho pan Mirecki, odrzucając swój warkocz na plecy.

— Łysina nie ma nic do rzeczy! — zapewniał go dziadek Adam. — Wystarczy, że założę czapkę...

Ale czapka nie uczyniła cudu. Lśniąca łysina dziadka Adama była w ogóle niepodobna do czupryny Kościuszki z obrazu, a za krótkie rękawy nie dodawały mu powagi.

— Rany — mruknęła Sonia — zachowują się jak siostry Kopciuszka.

— Aha, tylko zamiast bucika mierzą mundur — zgodził się Krystian.

Zaglądający przez okno chłopcy zasłonili dłońmi usta, by stłumić śmiech, ale po chwili posmutnieli. Nie dało się ukryć, że żaden z dziadków nie nadawał się na Naczelnika. A co to za insurekcja kościuszkowska bez Kościuszki?

Rozczarowani wrócili do domu, nie czekając na ostateczną decyzję.



Podczas kolacji Antoś i Kuba, na wszelki wypadek, nie wspominali nic o inscenizacji na krakowskim Rynku. Byli przekonani, że po mierzeniu kostiumu dziadek będzie zawiedziony, nie chcieli więc go zasmucać pytaniami. Ku ich zdumieniu było wprost przeciwnie. Dziadek Adam pogwizdywał, sypał żartami i mrugał porozumiewawczo do Soni, a nawet, ku oburzeniu babci, chciał polerować najpiękniejszą z szabel — przy stole!

— O nie, nie! — burknęła tylko babcia Kasia. — Jedyne ostrze, jakie tu może być, to nóż do krojenia chleba!

Dziadek posłusznie podreptał do biblioteki, by schować karabelę.

— Moja cudna, powisisz tu jeszcze trochę — powiedział do szabli czule, zamykając ją na klucz — ale niedługo! Niedługo! No, chłopaki, ponoć chcecie usłyszeć o insurekcji?

— Chcemy! — zawołali zgodnie chłopcy.

— To zanieście talerze do zmywarki i chodźcie tu szybciotko!

Antoś i Kuba błyskawicznie wypełnili polecenie. Kiedy weszli do biblioteki, dziadek już zdążył nabić fajkę.

— Gotowi? — spytał.

— Bardziej już się nie da — zapewnił go Kuba i razem z Antosiem przycupnął na skórzanej sofie.

Dziadek Adam spojrzał na wnuczków pogodnie.

— To słuchajcie! Kiedy skończyła się wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Kościuszko wsiadł na okręt Kurier Europy i wrócił do ojczyzny.

Towarzyszył mu Jean Lapierre, czarnoskóry adiutant, który trwał wiernie u jego boku przez następne trzynaście lat. Kościuszko bardzo go lubił i cenił, dzięki niemu też nigdy nie zapomniał o niewolnikach w Ameryce. Bo powinniście wiedzieć, że nasz bohater przez całe życie głosił, że wolność



jest potrzebą duszy i każdy ma do niej prawo. I to niezależnie od koloru skóry czy stanu, w którym się urodził^{*}.

Do biblioteki wsunęła się cicho Sonia i, kładąc palec na ustach, przyłączyła się do grona słuchających. Dziadek pyknął z fajeczki.

— O czym to ja... Aha! Już wiem — sapnął, moszcząc się w rozłożystym fotelu. — Kościuszko osiadł w rodzinnych Siechnowiczach, ale spokojne życie na wsi nie było już dla niego. Dlatego kiedy tylko zaczęto powiększać polską armię, zaciągnął się do wojska. Tam szybko awansował na dowódcę dywizji. Nic, tylko się żenić i chować dzieci. Tak się jednak nie stało. To był czas, kiedy w naszym kraju uchwalano reformy, czyli ważne zmiany w prawie. Chciano, żeby państwo było rządzone bardziej nowocześnie i sprawiedliwie, a ludzie biedni lepiej chronieni. Najważniejsze z tych ustaleń spisano i tak powstała Konstytucja^{**}. Dzięki niej Rzeczpospolita znów miała być

^{*} Tadeusz Kościuszko zarządził, aby jego zaległe pobory za służbę w armii amerykańskiej przeznaczono na wykupienie z niewoli czarnych niewolników — tyłu, by pozostałe pieniądze starczyły na ich wykształcenie i godne warunki życia. Chciał, żeby mogli normalnie pracować i żyć w amerykańskim społeczeństwie. Do wykonania swej woli wyznaczył samego Thomasa Jeffersona, ten jednak tego nie zrobił.

^{**} *Konstytucja 3 maja*, uchwalona w 1791 roku, regulowała ustrój prawny ówczesnej Rzeczypospolitej. Była pierwszą w Europie i drugą na świecie (po konstytucji amerykańskiej z 1787 roku) nowoczesną, spisaną konstytucją.

mocna, a to się bardzo nie podobało zaborcom. Jak myślicie, dlaczego?

Sonia uśmiechnęła się tylko, chłopcy zaś otworzyli szeroko buzie, bo, szczerze mówiąc, nie wiedzieli, co znaczy słowo „zaborca”. Dziadek pokiwał głową i wyjaśnił im, że tak nazywano państwo, które

dokonało zaboru, czyli zagarnęło cudze terytorium. I że wówczas część polskich ziem zabrały aż trzy wrogie kraje: Rosja, Prusy i Austria.

— No tak! — Kuba rozpromienił się, zadowolony, że przypomina sobie wcześniejszą opowieść babci. — Myślę... myślę sobie... że zaborcy woleli, żeby Polska była takim chucherkiem, co nie ma siły walczyć o swoje.

— Właśnie tak było! — potwierdził dziadek Adam. — Reformy nie podobały się też wielu polskim magnatom, czyli najbogatszej szlachcie, bo przez nie tracili specjalne prawa, bardzo dla nich korzystne. „To niesprawiedliwe! — protestowali. — My chcemy, żeby było jak przedtem!”



W tajemnicy zawiązali spisek i porozumieli się z carycą Rosji Katarzyną II. Kiedy wszystko było gotowe, w miejscowości Targowica podpisali pewien zdradziecki dokument. Tym sposobem odzyskali swoje przywileje, ale cena była ogromna. Kilka dni później, na prośbę targowiczán, do Rzeczypospolitej wkroczyło sto tysięcy rosyjskich żołnierzy.

— O rany! — jęknął Antoś. — Sto tysięcy to bardzo dużo.

— Zwłaszcza, kiedy jest to regularna armia — dodał dziadek. — Kościuszko, który dowodził jedną z trzech polskich dywizji, niezwykle mężnie odpierał ataki Rosjan, to właśnie wtedy dostał za zasługi złoty Order Virtuti Militari. I co z tego? Nagle, jak grom z jasnego nieba, przyszła wieść, że król przystąpił do zdrajców i wydał rozkaz zaprzestania walk.

— Król? Nasz król? — upewnił się Kuba. Myślał, że może się przesłyszał.

Dziadek wypuścił z ust śliczne, równiutkie kółeczko i potwierdził:

— Tak, król Stanisław August Poniatowski.

— A ja myślałam, że był taki fajny, bo wspierał artystów! — prychnęła Sonia.

— Na sztuce może i się znał — powiedział dziadek — ale nie na wojnie. Poza tym miał długi w Rosji i łudził

się, że jakoś dogada się z carycą. Nie wyszło to krajowi na dobre. Rok później zaborcy zajęli jeszcze większy obszar Rzeczypospolitej*.

— Ale jak tak można? — zdenerwował się Kuba. — Najpierw ci z Targowicy, potem sam król...?!

— Ja bym się wstydził tak zrobić — szepnął Antoś.

— Nie tylko was to oburzyło — westchnął dziadek.

— Kościuszko, jak wielu oficerów, złożył rezygnację ze służby. Król bardzo zabiegał, by wrócił do wojska, on jednak był nieugięty. Chociaż mógł nadal pobierać wysoki generalski żołd, przybrał pseudonim i jako hrabia Bieda objechał co znamienitsze dwory.

— A po co? — zdziwiła się Sonia.

— Chciał wiedzieć, jakie są nastroje, i co szlachta myśli o zaborcach.



* Był to drugi rozbiór Polski, do którego doszło w 1793 roku.

— Ja wiem, ja wiem! — zawołał Kuba z błyskiem w oku.
— Robił rozpoznanie! Takie tajne, jak służby wywiadowcze!
Dziadek uśmiechnął się.

— Chyba niezbyt tajne, bo wyprzedzała go sława bohatera. Kościuszko wszędzie budził wielkie zainteresowanie i urządzano na jego cześć wystawne przyjęcia. W dniu imienin, w pałacu księcia Czartoryskiego, uhonorowano go wręcz po królewsku. Wyobraźcie sobie, że damy włożyły mu na głowę koronę z gałązek i liści stuletniego dębu zasadzonego przez samego króla Sobieskiego, a potem na jego cześć śpiewano pieśni i recytowano wiersze. We Lwowie kobiety tak za nim szalały, że obrywały mu guziki na pamiątkę.

— A autografy? Czy rozdawał autografy? —
chciała wiedzieć Sonia.

— Jak celebryta?

— Myślę, że wpisał się do
niejednego pamiątnika —
odparł dziadek, wydmuchując obłok śnieżnobiałego dymu.



— Ale nie miał konta na fejsie — rzucił złośliwie Kuba.
— I ani jednego suba.

— Ty mu po prostu zazdrościsz — warknęła Sonia, biorąc się pod boki. — Chciałbyś, żeby ciebie też tak podziwiano!

— Tak, marzę, żeby chodzić w wianku! — prychnął Kuba, strosząc rude włosy. — Bez guzików!

Kto wie, jak skończyłaby się ta sprzeczka, na szczęście w porę odezwał się Antoś. Nieśmiało pociągnął dziadka za rękaw i spytał:

— A co z tą in... in...

— Insurekcją? — odpowiedział dziadek Adam. — Już do tego dochodzę. Nawet najbogatsi szybko odczuli niekorzystne zmiany. W kraju było coraz gorzej, wielu ludzi dotykały bieda, drożyzna i brak pracy. Do tego władze targowickie mściły się na tych, którzy popierali reformy. Płonęły wsie i miasta, rabowano majątki patriotów. Kościuszko zrozumiał, że szansą dla Polski jest tylko walka o wolność, zbrojne powstanie zwane wówczas insurekcją. Tak jak Amerykanie wywalczyli sobie wolność, bijąc się z Brytyjczykami, tak samo mogli zrobić Polacy, Litwini, Rusini i inne narody, które mieszkaly w Rzeczpospolitej.



— Ojej — zdziwił się Antoś. — Nie wiedziałem, że w Polsce żyli ludzie z innych krajów.

— To był nasz wspólny kraj, Rzeczpospolita Obojga Narodów^{*}.

— Dziadek wskazał na piękną, starą mapę, wiszącą na ścianie biblioteki. — Teraz to Kościuszko stał się spiskowcem. Przez dwa lata szukał pomocy za granicą, naradzał się z przywódcami polskiej emigracji, zbierał fundusze i planował powstanie. Pomysły były różne, ale nasz bohater co do jednego nie miał wątpliwości. Mówił, że pragnie wolności dla całego narodu, bo za samą szlachtę bić się nie będzie.

— Zwłaszcza taką jak ta z Targowicy — dodała Sonia.

— Zgadza się. — Dziadek wypuścił kolejny obłoczek dymu. — Czas gonił, Rosjanie w każdej chwili mogli się dowiedzieć o spisku polskich patriotów. Dlatego Kościuszko wrócił do Polski i wykorzystał moment, kiedy carskie wojska opuściły Kraków. Był marzec 1794 roku. Tadeusz

^{*} Rzeczpospolita Obojga Narodów była państwem złożonym z Korony Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego. Korona i Litwa stanowiły dla szlachty jedną całość, mimo dzielących je różnic.

Kościuszko pojawił się na krakowskim Rynku, gdzie zgromadzili się przyszli powstańcy, i tam, jako Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej, publicznie ogłosił akt powstania. Obwieścił, że będzie walczył o uwolnienie Rzeczypospolitej od obcych wojsk, wyłączenie wszelkiej przemocy i niepodległość. Zapowiedział też, że w ciągu dwóch miesięcy przekaze władzę w ręce rządu powstańczego. I tak zaczęła się insurekcja.



— Insurekcja, czyli zbrojne powstanie — wyszeptał Antoś zadowolony, że nareszcie zapamiętał to trudne słowo.

— W sobotę sami zobaczycie, jak to wyglądało — powiedział dziadek Adam, wytrząsając resztki tytoniu z fajki. — A teraz, moi kochani, już zmykajcie! Zmykajcie do łóżek!

— Do łóżek? Ja też? — oburzyła się Sonia.

— Ty, moja panno, masz chyba jakieś sekrety z babcią. To coś z kostiumami, jeśli dobrze kojarzę?

Sonia uśmiechnęła się tajemniczo i wyszła, zadzierając nosa.



Nadszedł ładny, słoneczny dzień, wiał lekki wietrzyk, niebo było czyste. Na Rynku Głównym zebrali się zapaleńcy z Grupy Historycznej, mieszkańcy Krakowa oraz zaciekawieni turyści. Antoś i Kuba, ubrani dość dziwnie jak na dwudziesty pierwszy wiek, ale zupełnie zwyczajnie jak na osiemnasty, trzymali dumnie w dłoniach transparent z napisem: „Vivat Kościuszko!”. Babcia Kasia i pani Mirecka, wystrojone w suknie szlachcianek, powiewały chusteczkami, a obok wąsaty pan w pięknym krakowskim stroju potrząsał sztandarem,



na którym widniało hasło: „Za Kraków i Ojczyznę”. Chłopcy dojrzeliby również napisy: „Wolność lub śmierć” i „Równość, wolność, jedność”. Wiele osób nosiło rogatywki, a na piersi znaczki z podobizną Naczelnika. Ale najfajniejsze było to, że na inscenizację przyjechała mama Antosia — i to w niesamowitej sukni wypożyczonej z opery! Wszyscy się za nią oglądali, a ona śmiała się, że w życiu nie usłyszała tylu komplementów od nieznajomych.

Chłopcy pokrzykiwali z tłumem i bawili się wyśmieniem.

— Ciekawe, skąd ci ludzie wiedzieli o inscenizacji — zastanawiał się na głos Antoś.

— Wiadomo, z radia! — odezwał się ktoś stojący tuż za nimi.

— Krystian? — zdumiał się Kuba. — Nie jedziesz konno z dziadkiem?

— Pilnuję Soni, żeby jej tłum nie wypchnął — wyjaśnił z powagą najmłodszy Mirecki. Wyglądał wystrzałowio w prawdziwym kontuszu. — Ma specjalne zadanie. Widzicie ją? Stoi przy podwyższeniu. Właśnie do niej idę. — I minął ich szybkim krokiem.

Chłopcy spojrzeli we wskazanym kierunku i rzeczywiście ujrzeli Sonię w rozpuszczonych jasnych włosach

i długiej czerwonej sukience obszytej u dołu futerkiem. Kuzynka trzymała w dłoni sztywny rulon i wypatrywała „powstańców” od ulicy Świętej Anny.

— Też podejźmy bliżej! — zawołała mama, przekrzykując hałas.

Zrobili to w ostatniej chwili. Wtem wszyscy zamilkli i rozstąpili się, robiąc miejsce dla jeźdźców. Na przodzie jechał dziadek Adam w białej peruce z kitką i lokami. Grał prezydenta miasta i był bardzo elegancki. Za nim pojawił się szczupły mężczyzna w mundurze generała. Miał zadarty nos, świetną żołnierską postawę i nieco przydługie kędzierzawe włosy.

Antoś wytężył wzrok i jęknął zachwycony.

— Ależ to tata! Mój tata!
— zawołał. Kostium Naczelnika Kościuszki leżał na nim wprost idealnie!



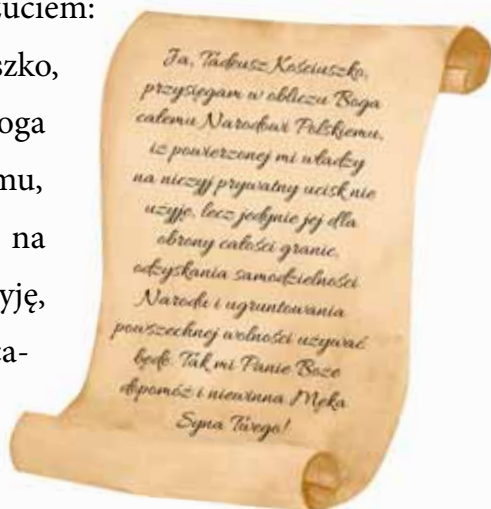
— Zdążył w ostatniej chwili. Gdyby lot się opóźnił, z niespodzianki byłyby nici — powiedziała mama, ściskając syna za rękę.

Następnie oczom zgromadzonych ukazał się pan Roman Mirecki i wielu sympatycznych panów w historycznych strojach. Grupa dotarła na Rynek, zsiadła z koni i dziarskim krokiem podeszła do podwyższenia. Zabrzmiały gromkie brawa.

Tata z niezwykłą powagą wszedł na podest. Dopiero teraz było widać, że ma przytroczoną do pasa przepiękną karabelę. Otoczył go czworobok żołnierzy — wszyscy w oficerskich mundurach.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Tata-Kościuszkowski zbliżył się do stojącego tam mikrofonu i z uniesioną do góry szablą powiedział z uczuciem:

— Ja, Tadeusz Kościuszkowski, przysięgam w obliczu Boga całemu Narodowi Polskiemu, iż powierzonej mi władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyję, lecz jedynie jej dla obrony całości granic, odzyskania



samodzielności Narodu i ugruntowania powszechnej wolności używać będę. Tak mi Panie Boże dopomóż i niewinna Męka Syna Twego!*



Sonia podała mu zwój, a on podpisał go zamasyżcie.

— Hura! Hura! Hura! — rozległy się okrzyki.

— Wiwat Kościuszko! — krzyknęła mama.

— Niech żyje! — zawtórowały jej babcia Kasia i pani Mirecka.

Tłum dołączył się do wiwatów. Kto miał krakuskę, na cześć Naczelnika rzucił ją w górę, a mężczyźni w wojskowych mundurach zaprezentowali broń.

Antoś poczuł, że rozpiera go duma, a oczy robią się podejrzenie wilgotne...



* Tekst oryginalnego ślubowania Tadeusza Kościuszki.

Po inscenizacji na fejsie aż się zakotłowało, tata odebrał też wiele sympatycznych telefonów od znajomych z całego kraju. Bo chociaż Antoś tego nie zauważył, telewizja zarejestrowała najważniejsze chwile, a pan Mirecki, jako prezes Grupy Historycznej, powiedział kilka słów do kamery i pokazali go w magazynie informacyjnym.

Było wspaniale! Wszyscy turyści chcieli oglądać karabelę i fotografować się z „Kościuszką”, furorę zrobił też dziadek Adam w białej peruce przywiezionej przez mamę z opery. Zimną krew zachował tylko Krystian, który pstryknął wiele fajnych zdjęć. Najchętniej zostaliby w Krakowie do późna, trzeba było jednak zadbać o konie.

Kiedy dotarli do Olszówki, „powstańcy” i ich sympatycy mogli nareszcie nieco odpocząć. Dobre humory ich nie opuszczały, zwłaszcza że babcia Kasia przygotowała poczęstunek w altanie. Wszyscy zajadali z apetytem, uśmiechali się i dzieli wrażeniami.

— To był świetny pomysł, rewelacyjny! — cieszył się dziadek, co rusz czochrając perukę.

— Nic takiego! — Mama machnęła tylko ręką. — Kiedy wypożyczałam suknię, wpadła mi w oko i od razu pomyślałam o twojej... nooo...

— Łysinie! Nie bójmy się tego powiedzieć! — Dziadek Adam gruchnął tubalnym śmiechem.

— Szkoda, że nie udało się uderzyć w Zygmunta — powiedział pan Mirecki, a widząc okrągłe ze zdumienia oczy chłopców, wyjaśnił: — Dzwon Zygmunt, urwisy! W dniu prawdziwego ślubowania bił dzwon na Wawelu! Ten największy!

Pani Mirecka wciąż muskała poły kontusza, który uszyła specjalnie dla Krystiana, i szeptała:

— Jesteś bardzo przystojnym młodzieńcem! Śliczności! A jakie różowe policzki!

Krystian był wprawdzie dumny ze swojego kostiumu, ale jakoś nie chciał, żeby te pochwały usłyszała Sonia.

— To może ja... eee... przyniosę coś do picia? — pisnął cienko i szybko umknął przed swoją babcią.

— Waszmościanko, wygląda dziś pani cudownie! — Tata zapewnił mamę z uznaniem i pocałował ją w rękę,

niczym szlachcic z dawnych lat. — A dzieciaki? Fenomenalnie! Trzeba to uwiecznić!

To był moment, w którym Antoś, Kuba, Sonia i Krystian zapozowali do kolejnych stu, a może dwustu zdjęć. Szczególnie ciekawie wypadły te z końmi. Niestety kostiumy były bardzo cenne, więc, ku żalowi najmłodszych „spiskowców”, niedługo potem wszyscy włożyli swoje zwyczajne ubrania.

Po takim intensywnym dniu chłopcy padli na łóżka jak zabici i chrapali głośno do samego rana.



Następnego dnia Antoś miał wreszcie tatę tylko dla siebie. Kiedy wyspali się i zjedli późne śniadanie, pokazał mu, jak kłusuje na kucyku, a potem poszli na długi spacer do lasu.

— Będzie z ciebie świetny jeździec — pochwalił go tata.

— Konie są fajne — odparł chłopiec. — A Amigo jest mądry i tak śmiesznie chrupie, kiedy je marchewkę. Chciałbym umieć go czyścić i prowadzić na lonży jak Kuba.

— Wystarczy poprosić dziadka. Jestem pewien, że przyda mu się taki sprytny pomocnik.

Antoś wypiął pierś. A potem przypomniał sobie, jak tata dumnie jechał na koniu w stroju Naczelnika i z powagą recytował jego ślubowanie.

— Tato, jak to jest być Kościuszką? — zapytał.

— Fajnie! — odparł bez zastanowienia. — Kiedy twój dziadek zadzwonił do mnie w tej sprawie, po prostu wsia-
dłem w samolot i przyleciałem. Szkoda, że mam czas tylko w ten weekend, ale dobre i to.

— Byłeś super! Taki poważny, jak prawdziwy Kościuszko.

— Ba! To wielka odpowiedzialność i zaszczyt. Tadeusz Kościuszko to bohater narodowy Polski, Stanów Zjedno-
czonych i Białorusi, podziwiają go w wielu krajach. Jego



imieniem nazywano okręty, usypywano mu kopce — jeden jest nawet tu niedaleko, w Krakowie — a pomników na całym świecie nie zliczę. Na jego cześć nazwano nawet w Ameryce miasto i wyspę, a w Australii najwyższą górę.

— Mama mówiła, że powstała opera o Kościuszcze.

— No tak, mama kocha operę — zaśmiał się tata. — Dla mnie ciekawsze jest to, że całkiem niedawno jechałem w Nowym Jorku nowiutkim mostem Kościuszko. Pomyśl, minęły ponad dwa wieki, a my wciąż o nim pamiętamy i jesteśmy z niego dumni.

— Ale Sonia mówiła, że jego insurekcja niestety i tak się nie udała.

— No cóż... Tadeusz Kościuszko użył całej swojej wiedzy i doświadczenia, żeby zwyciężyć. Zwerbował jak największą liczbę żołnierzy, wymyślił też, by chłopci, dla których nie miał broni, walczyli specjalnie przygotowanymi kosami...

— Wiem! To byli kosynierzy! — wtrącił Antoś.

— Brawo. — Tata się ucieszył. — Ponadto Kościuszko zadbał o to, żeby jego wojsko było nowoczesne, utworzył nawet specjalną jednostkę strzelców, takich ówczesnych snajperów. A wiesz, na kim się wzorował?

Tego już Antoś nie wiedział.

— Na amerykańskich rangerach — wyjaśnił tata. — Wielka szkoda, że to nie wystarczyło. Na początku powstańcom szło całkiem nieźle: insurekcja ogarniała kolejne miasta i wielu zdrajców zginęło, a po najwspanialszej, zwycięskiej bitwie pod Racławicami zdobyli mnóstwo broni. Niestety potem zaczęli przegrywać. W bitwie pod Maciejowicami



Kościuszek został ciężko ranny i dostał się do niewoli rosyjskiej, a samo powstanie niedługo potem upadło.

— Okropne — powiedział Antoś. — Przecież się starał!

— Wszyscy się starali. Ale tak bywa na wojnie. Polscy patrioci bardzo przeżyli tę klęskę, niektórzy wręcz się pochorowali z rozpaczy. A było czego żałować, bo rok później Rosja, Prusy i Austria zagarnęły ostatni skrawek Polski^{*}. Nasz kraj zniknął z map świata. I to na ponad sto lat!

Antoś się zamyślił.

— Ale skoro powstanie się nie udało — spytał po dłuższej chwili — dlaczego wszyscy chwalą Kościuszkę?

Tata uśmiechnął się smutno.

— Kiedy nie można wygrać, zostaje tylko honor. A dla naszych prapradziadków, Polaków z tamtych lat, ważne było, że nie oddali swojej wolności ot tak, bez walki. Dzięki temu zrywowi nadzieja na odzyskanie niepodległości nigdy w nich nie umarła. Dlatego Kościuszkę wspominamy tak dobrze. Przecież to on poprowadził Polaków do boju i do końca walczył w obronie ojczyzny.

Antoś przysiadł z tatą na suchym pieńku i długo razem słuchali świergotu ptaków.

^{*} W 1795 roku nastąpił trzeci rozbiór Polski.

Kiedy Antoś machał rodzicom na do widzenia, ze zdziwieniem stwierdził, że wcale nie czuje się smutny ani osamotniony jak zaraz po przyjeździe. Dni płynęły teraz spokojnie. Antoś codziennie kłusował na Amigo, a po lekcjach jazdy konnej dużo czasu spędzał z Kubą, czyszcząc kucyka i wymyślając niestworzone historie o Indianach, detektywach i rycerzach. Chłopcy często zaglądali do państwa Mireckich, podziwiali kolekcję dziadka i opychali się specjałami babci.

Pewnego razu Sonia wróciła ze swojej przejażdżki bardzo zagniewana. Zeskoczyła z siodła i zawołała:

— Dziadku, mam już tego dość! Co ta Ambrozja wyprawia? Wciąż robi mi obciach przy Krystianie!

Dziadek Adam, który właśnie skończył pracę w stajni i wygrzewał się błogo na słońku, aż drgnął zdziwiony.

— Moja kochana Ambrozja? Przecież to najmiłsza klacz w Olszówce!

— Ale się mnie nie słucha! Kiedy mijamy stragan, bez przerwy kradnie jabłka. Już kończy mi się kieszonkowe! A koło ośrodka, no wiesz, tego, gdzie są koloniści, nagle staje jak wryta i ani wte, ani we wte!

Dziadek uniósł brew, przez chwilę milczał, a potem wyszczerzył zęby, ubawiony.

— Już wiem, o co chodzi! To chyba kwestia... przyzwyczajenia. Na co dzień, kiedy was tu nie ma, to ja objeżdżam Ambroję. I wtedy kupuję jej jabłko na straganie, a potem zatrzymujemy się przy ośrodku. Właściciel jest bardzo sympatyczny i zawsze ucinamy sobie pogawędkę.

— Czy to normalne? — Sonia uniosła brew, zupełnie jak dziadek.

— Pogawędka?

— Nie, te końskie przyzwyczajenia.

— Konie już tak mają. Nawet koń Kościuszki tak robił.

Sonia siadła obok dziadka, wciąż urażona.

— Żarł cudze jabłka? — spytała, krzyżując ręce na piersi.

— Nie, nie. To całkiem popularna anegdota z czasów, kiedy nasz bohater mieszkał w Solurze, bardzo ładnym szwajcarskim miasteczku. Kościuszko był już stary, ale codziennie po obiedzie wybierał się na przejażdżkę na swoim

ulubionym koniu, którego nazwał Dobry. Koń wiedział, że jego pan wciąż zatrzymuje się przy dzieciach i przy biedakach, sam więc stawał, ilekroć zobaczył kogoś takiego.

— Jak to stawał? Po co? — spytał Kuba, który wyrósł jak spod ziemi.

— Starszy pan miał zawsze w kieszeni słodczy dla dzieciaków i jałmużnę dla biednych, i nigdy ich nikomu nie żałował. Ot i cała historia! — Dziadek rozłożył ręce.

Sonia poklepała Ambrozię, a ponieważ wcale się na nią nie gniewała, zamruczała czule:

— Ty łobuziaro! Ty cwana bestio! Też jesteś „dobra”!

Klaczka prychnęła pogodnie, jakby zgadzała się z dziewczyną.

— Myślałem, że Kościuszko umarł w niewoli, gdzieś w Rosji — odezwał się Antoś.

— O nie, bynajmniej — powiedział dziadek



Adam, wycierając chusteczką spocone czoło — chociaż było mu tak ciężko, że pragnął już tylko śmierci.

— Wiem! — zawołał Kuba. — Pewnie poczekał do nocy, zrobił podkop i uciekł! Strzelali za nim — TRATATATA! — ale on zniknął w ciemnościach jak Batman.

— Doskonały plan — odparł dziadek z powagą — ale odbyło się to w inny sposób. Po dwóch latach w petersburskiej twierdzy Tadeusza Kościuszkę odwiedził nowy władca Rosji, Paweł I Romanow, i powiedział tak: „Generale! Jeśli przysięgniesz mi wierność i przyrzekniesz, że nigdy już nie wrócisz do Polski, wypuszczę ciebie oraz wszystkich polskich jeńców na wolność”. Kościuszko złożył mu przysięgę, a młody car zrobił to, co obiecał.

— Hm. To jednak musiało być przykre — stwierdził Kuba, nie kryjąc rozczarowania.

— Ale dzięki temu dwanaście tysięcy Polaków odzyskało wolność.

— A Kościuszko?

— Kościuszko wsiadł do karety, przykrył się pięknym ciepłym futrem, które sprezentował mu car, i z ulgą wyjechał z Rosji. A że był człowiekiem niezwykle słownym,

do ojczyzny już nigdy nie wrócił — powiedział dziadek i zaprowadził Ambroję do stajni.



Ostatnie dni minęły jak z bicza strzelił. Nie wiadomo kiedy zrobiła się sobota i nazajutrz Antoś, Kuba i Sonia mieli wracać do swoich domów. Wakacje kończyły się nieubłagane, a trzeba było jeszcze kupić wiele niezbędnych rzeczy do nauki w następnej klasie.

Wieczorem babcia upiekła im ciasto drożdżowe, a dziadek, z szalenie poważną miną, oznajmił wnukom:

— Moi kochani, mamy dla was po malutkim upominku na pożegnanie.

Wszyscy, cali w skowronkach, spojrzeli na niego wyczekująco. Uwielbiali upominki, nawet malutkie.

— Kasiu, mogę cię prosić? — rzucił spokojnie dziadek.

Babcia zdjęła z półki zgrabny pakunczek i położyła przed Sonią.

— Zobacz, słoneczko — zachęciła wnuczkę.

Dziewczyna z ciekawością rozdarła opakowanie. Była tam czerwona aksamitna sukienka, w której Sonia wystąpiła



podczas inscenizacji, ale jeszcze strojnieszka niż wtedy — pełna haftów, zdobień i futrzanych obramowań.

Babcia wygładziła na materiale niewidoczną fałdkę i dodała: — Wiem, że raczej trudno będzie ci gdzieś w niej wyjść, ale to taka pamiątka.

— Jest śliczna! Idealna na imprezy i Halloween! — zawołała uszczęśliwiona Sonia i zaraz się zmartwiła. — A jak z niej wyrosnę?

— Zrobiłam spore zapasy na szwach. Poradzimy sobie. — Babcia poklepała ją po ręce. — Cieszę się, że ci się podoba.

Chłopcy popatrzyli na dziadka z wyczekiwaniem i lekkim niepokojem. Dziadek nie miał żadnego pakunku.

— Tak, nie mam nic dla was przy sobie — powiedział dziadek, jakby czytał w ich myślach — ale wiem, że lubicie poszukiwania. Zatem zdradzę, że prezenty są w waszej

sypialni. Mała podpowiedź: skrytka jest bardzo przemyślana, nieduża i niewidoczna!

Antoś i Kuba spojrzeli na siebie, a uszy aż im poczerwieniały z emocji.

— No, na co czekacie? Idźcie szukać! — zawołał dziadek Adam, a chłopcy wystrzelili do swojego pokoju jak z armaty.

Poszukiwania nie były łatwe, ale za to owocne. I, ku rozpaczy Kuby, to Antoś znalazł schowek. Kiedy przetrząsnęli najbardziej oczywiste miejsca, wzrok chłopca padł na sekretarzyk, na którym kurzyła się nieużywana od miesiąca konsola.

— Pamiętasz, co mówił dziadek pierwszego dnia o tym meblu? — powiedział, oglądając go uważnie.

— Że jest stary — odparł Kuba.

— I że może mieć skrytkę! — sapnął Antoś, drapiąc paznokciem dziwnie wystający bolec. Coś kliknęło, przesunęło się i oto oczom chłopców ukazała się sekretna szufladka.

— Łał! — jęknął Kuba. — Ale super! Czy coś tam jest?

Chłopcy przykucnęli i bardzo ostrożnie wyjęli dwa pudełeczka. Na każdym było imię. Antoś drżącymi dłońmi otworzył to z napisem: ANTONI. W środku leżała duża lśniąca moneta z wizerunkiem Kościuszki. Chłopiec ujął ją

w dwa palce i odwrócił. Na rewersie ujrzał drugi profil, zaskakująco znajomy.

— Czy to... czy to... — powiedział do siebie zaskoczony.

— Tak, chłopaki! Po jednej stronie jest Kościuszko, a po drugiej... O, tu jest Antoni... — Dziadek poczochnął czuprynę młodszego wnuka. — A tu Jakub! — wyjaśnił.

— Ale jak...? — spytał oszołomiony Kuba, który nigdy jeszcze nie był na żadnej monecie i raczej tego nie planował.

— Kościuszko był na wielu monetach i banknotach, stąd taki mały projekcik dla turystów — wyjaśnił dziadek — bicie pamiątkowych monet. I w ramach przygotowań naszej Grupy Historycznej... Krótko mówiąc, podoba się czy nie?

Chłopcy zarzucili dziadkowi ręce na szyję i uściskali go bardzo mocno.

— A teraz chodźmy na ognisko — wysapał dziadek. — No co tacy zdziwieni? Pożegnalne ognisko chyba się nam należy?



— A kto będzie? — chciał wiedzieć Kuba.

— Sami znajomi — obiecał dziadek.



W zapadającym zmroku migotał płomień, oświetlający twarze zgromadzonych: dziadka Adama, babci Kasi, Soni, Kuby, Antosia oraz państwa Mireckich z Krystianem. Było bardzo przyjemnie. Wszyscy piekli na długich kijach tłuste kiełbaski i z ożywieniem wspominali wyjazd do Krakowa. Całe towarzystwo zgodnie stwierdziło, że chciałoby kiedyś coś takiego powtórzyć. Starsi żarliwie dyskutowali o historii, młodszy — o tym, czy kiełbaski są lepsze z keczupem czy z musztardą.

— Na pewno z keczupem! — zawołał Antoś. — Takim słodkim!

— Keczup rządzi! — odkrzyknęła Sonia.

— O nie, musztarda! — zaperzył się Krystian. — Nie ma jak musztarda! Kuba? A ty co wybierasz? Bo na razie jest dwa do jednego dla keczupu.

Kuba wzruszył ramionami.

— Mnie tam obojętne, i tak wszystko zjedzone. Chciałbym się za to dowiedzieć, jak to się wszystko skończyło.

— Ale co? Musztarda? — dopytywał się Krystian i na wszelki wypadek podsunął mu plastikowe opakowanie.

— Nie. Te wszystkie przygody Kościuszki.

— Prawdziwi ludzie nie mają przygód, tylko przeżycia — powiedziała przemądrzale Sonia.

— Nazywaj to, jak chcesz — fuknął Kuba — dla mnie to przygody.

Seniorzy w lot pojęli, o co mu chodzi. Przy ognisku panowała szczególna atmosfera. Trzaskał cicho ogień, kielbaski i pieczony chleb znikły do ostatniego okruszka — wręcz idealne warunki do gawędy! Pan Mirecki i dziadek Adam znacząco na siebie spojrzeli.

— Czyżbyś, młody człowieku, życzył sobie opowieści? — spytał dziadek Krystiana, zakładając dłonie na wydatnym brzuchu.

Kuba nieco się zarumienił i kiwnął głową.

— Aha. Pan wie, o kim.

Antoś nadstawił uszu, a zaintrygowana młodzież przyłączyła się do słuchania.

— Nie mamy tu fajki pokoju, ale posłuchajcie — zgodził się pan Mirecki i zaczął snuć historię. — Tadeusz Kościuszko ostatnie dwadzieścia lat życia spędził na emigracji.

Najpierw udał się za ocean, do Stanów Zjednoczonych, gdzie przywitał go wiwatujący tłum. Amerykanie cały czas śledzili jego losy i podziwiali za hart ducha. Był dla nich symbolem walki o niepodległość i wielkim przywódcą, który stawiał czoło królom. Kościuszko zamieszkał w Filadelfii, gdzie gościł u siebie doprawdy niezwykle osobistości. Odwiedzali go ważni przedstawiciele amerykańskiej władzy, przyszedł król Francji Ludwik Filip, a nawet wodzowie indiańscy. Jednak najczęściej wpadał z wizytą jego przyjaciel, Thomas Jefferson, który był wtedy wiceprezydentem USA.

— Ale nie został tam na stałe? — chciał wiedzieć Kuba.

— Nie. Rok później Kościuszko wrócił do Europy, do Francji, gdzie spędził kilkanaście lat. Wreszcie, pełen żalu, że nie mógł służyć ojczyźnie, osiadł w górzystej Szwajcarii. Nie zajmował się już polityką, chociaż z uwagą przyglądał się staraniom rodaków o niepodległość.

— To tam jeździł na Dobrym? — spytał Kuba.

— Codziennie — potwierdził pan Mirecki. — W Solurze wynajął apartament u zaprzyjaźnionej rodziny Zeltnerów i żył całkiem spokojnie. Wstawał wczesnym rankiem, parzył sobie kawę, a po śniadaniu dawał lekcje dzieciom gospodarzy, które bardzo lubił. Po miasteczku przechadzał



się w surducie i kapeluszu, z różą lub goździkiem wpiętym w dziurkę od guzika. Wieczorami grywał w karty, a w wolnych chwilach szydełkował i haftował.

— Cooo?? — jęknęli Kuba i Antoś.

— To jakiś fejk! — prychnęła Sonia.

— Dziadku, ściemniasz! — zaprotestował Krystian. — Faceci nie szydełkują!

— No wybacz — odparł pan Mirecki — ale jego prace akurat się zachowały.

— Tak! Portrety i szkice ołówkiem!

— A także obraz wykonany haftem krzyżykowym — powiedział nieustępliwie pan Mirecki — oraz sakiewka na pieniądze w kształcie rogatywki wydziergana na szydełku.

Krystian spoglądał na swojego dziadka bez przekonania.



— Ale... żołnierz? Bohater?
Bohaterzy nie robią takich rzeczy.

— Ja myślę, że jak się ma wielkiego ducha, to się nie przejmuje niczym gadaniem. I robi się to, na co się ma ochotę — uciął pan Mirecki. — W każdym razie Kościuszko wykonywał różne drobne przedmioty, którymi obdarowywał przyjaciół. Na przykład toczył na tokarce tabakierki i puszki na tytoń.

— Tokarstwo jest całkiem spoko — powiedział z wielką powagą Kuba i wszyscy, nie wiedzieć czemu, roześmiali się serdecznie.

— W sumie nawet miła starość, czyż nie? — rzuciła pani Mirecka, a panowie i babcia Kasia przytaknęli jej skwapliwie. — Chociaż to dziwne, że człowiek czynu tak się wycofał z życia.

— Nie całkiem — wtrącił dziadek Adam. — Nawet w podeszłym wieku wypowiadał się na różne ważne tematy. A w Europie spotkał się chociażby z Napoleonem Bonaparte i z kolejnym carem Rosji, Aleksandrem I Romanowem. Niestety miał coraz mniej energii i zapału.

— A co się stało? — spytał Kuba.

— Sam pomyśl. Pod Maciejowicami Kozacy omal go nie zadźgali, na polach bitew odniósł wiele ran, miał też za sobą dwa lata niewoli. No i przede wszystkim był już starym człowiekiem.

— A czy spotkał jeszcze kiedyś swoją Ludwisię? — odezwała się ni stąd, ni zowąd Sonia. — No, tę panienkę, którą chciał porwać w młodości?

Pan Mirecki się zamyślił.

— O tym akurat nie czytałem — przyznał z rozbrajającą szczerością, a dziadek Adam jedynie wzruszył bezradnie ramionami.

— A ja czytałam — zdradziła babcia Kasia z błyskiem w oku. — Ludwika, a właściwie wówczas księżna Lubomirska, odwiedziła swojego ukochanego Kościuszkę w Solurze niedługo przed jego śmiercią. Księżna była już wdową i niektórzy przypuszczają, że może się pobrali... ale obawiam się, że to tylko plotki — dodała, a wszystkie panie westchnęły jak na komendę.

Zapadła cisza, którą przerwał łoskot przewracającego się polana. Płomienie przygasły. Była już noc, nawet owady skończyły swój koncert.

— No, późno już, pora wracać — powiedział dziadek Adam, wstając od dopalającego się ogniska. — Jutro czeka was podróż.

— Idźcie już, my dogasimy żar — zadeklarował się Krystian.

Czarnotowie pożegnali się z Mireckimi i wolnym krokiem, ziewając szeroko, ruszyli do domu.

— I co, dzieciaki, jak się podobało? — spytała babcia.

— Było spoko — powiedział z uśmiechem Kuba.

Antoś wsunął dłoń do kieszeni i ścisnął pamiątkową monetę od dziadka. To było idealne zakończenie wakacji.



Tadeusz Kościuszko zmarł 15 października 1817 roku w Solurze w Szwajcarii. W testamencie nadał wszystkim swoim włościanom siechnowickim wolność osobistą i prawo własności posiadanych gruntów i zagród. Ostatecznie jego ciało spoczęło na Wawelu, a szkatułę z jego sercem przywieziono do Warszawy i umieszczono na Zamku Królewskim.